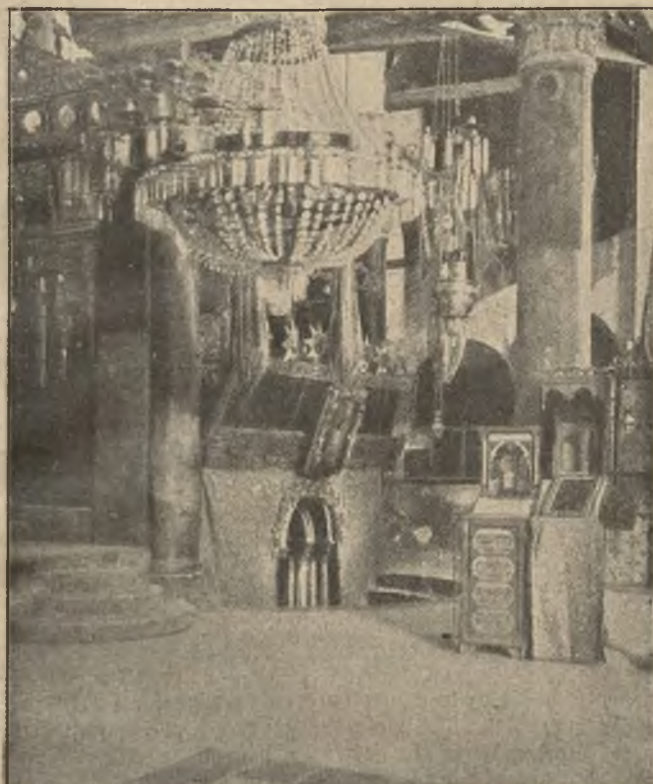
Tam, gdzie narodził się Chrystus.

Swięta Bożego Narodzenia wypadają w Palestynie na czas dosyć niefortunny, bo na porę deszczów zimowych. To też udział pielgrzymów, którzy w tej porze odwiedzają miejsca upamiętnione pobytem Chrystusa Pana, jest stosunkowo nieliczny. Główna uroczystość odbywa się w Betleem — w miejscu, gdzie znajduje się grota, uświęcona narodzeniem się Bożego Dzieciątka, wznosi się wspaniały kościół. Zbudował go w roku 330 cesarz Konstantyn. Jest to olbrzymi gmach, posiadający pięć naw. Srodkowa jest tylko w razie wielkiego napływu pielgrzymów otwieraną. Po bokach kościoła znajdują się liczne ołtarze. Przez mały otwór w ścianie kościoła schodzi się do właściwej groty, gdzie według tradycyi Chrystus się miał narodzić. Tutaj honorową straż pełnią żołnierze tureccy. Po kilku marmurowych schodach schodzi się do samej groty. Tutaj w zagłębieniu skały znajduje się wspaniały ołtarz, a u stóp jego w posadzce umieszczona jest marmurowa tablica z napisem: „Hic Jesus de virgine Maria natus est". (Tutaj narodził się Jezus z dziewicy Maryi).

Uroczystości świąteczne rozpoczynają się o godz. 10 tej wieczór. Franciszkanie, pełniący straż przy kościele, udają się w uroczystej procesyi do groty, mając w pośrodku swego patryarchę, który niesie figurkę woskową, przedstawiającą Dzieciątko Boże. W chórze kościoła rozpoczynają się następnie nabożeństwa, które trwają do godziny 3 nad ranem. O północy następuje uroczysta procesya, w czasie której obnoszona bywa figurka, wyobrażająca Chrystusa.

W głównej nawie kościoła gromadzi się tłum pielgrzymów, którzy stosownie do tradycyi całą noc spędzają w kościele.

O godz. 11 w nocy przybywa z Betleem uroczysta procesya kobiet betleemskich, aby oddać hołd Matce Boskiej. Wszystkie ubrane są jednako, a głowy ustrojone mają w białe rąbki według starodawnego zwyczaju. Jest ich trzysta. Zajmują one miejsce w głównej nawie przed wielkim ołtarzem i pozo-



Tam, gdzie narodził się Chrystus: Wnętrze kościoła Bożego Narodzenia w Betleem.



Tam, gdzie narodził się Chrystus: Straż turecka w kościele Bożego Narodzenia w Betleem, przed grotą, w której według tradycyi miał znajdować się żłobek Chrystusa.



Tam, gdzie narodził się Chrystus: Procesya katolicka w dzień Bożego Narodzenia w Betleem.







„Reunion“ ambasadorów w Londynie:

Angielski sekretarz stanu Edward Grey. — Ambasador włoski markiz Imperiali di Francavilla. — Ambasador francuski Paweł Cambon. — Ambasador rosyjski hrabia Benckendorff. — Ambasador rumuński C. Mano.

stają przez cały ciąg nabożeństwa aż do rana.
Właściwy napływ pielgrzymów obcych rozpoczyna się dopiero rano w pierwszy dzień świąt.



„Reunion“ ambasadorów w Londynie: Ambasador austro-węgierki hr. Mensdorf-Ponilly.

Illustracye nasze przedstawiają szereg zdjęć zarówno z kościoła zbudowanego nad grotą Bożego Narodzenia, jak i z samego Betleem.

„Reunion“ ambasadorów w Londynie.

Równolegle z konferencyą pokojową, która zebrała się w Londynie, aby zakończyć wojnę bałkańską, zjechali się na narady ambasadorowie sześciu największych mocarstw europejskich, aby przez wzajemną wymianę zdań obmyślić sposoby, dzięki którym Europa mogłaby wobec kwestyi bałkańskiej zająć jednolite stanowisko.

Kiedy nastąpił wybuch wojny bałkańskiej, wtedy po raz pierwszy dyplomacya europejska zabrała głos, aby określić stanowisko mocarstw wobec państw wojujących. Stanowisko to wtedy było czysto negatywne, mianowicie zgodzono się na to, aby w walce rozpoczynającej się nie brać czynnego udziału, a następnie, kiedy szybkie zwycięstwa Związku bałkańskiego nagle zmieniły sytuacyę polityczną na Bałkanie, postanowiono nie upierać się przy utrzymaniu *status quo*.

W miarę rozwoju wypadków zaczęło się zmieniać dyplomatyczne stanowisko państw wobec stron wojujących. Wreszcie doszło do tak silnego wzajemnego napięcia, iż zdawało się, że wojna trójprzymierza z trójporozumieniem jest rzeczą nieuniknioną. Wtedy ze strony Anglii podniesioną została myśl zwołania konferencyi ambasadorów mocarstw interesowanych, któraby, jako „reunion“ polityczny, doprowadziła do wygładzenia różnic i zażegnała groźne chmury.

„Reunion“ ten miał obradować w Londynie równocześnie z konferencyą pokojową. Udział w nim wziąć miały pierwotnie Włochy, Austro-Węgry, Niemcy, Rosya, Francya i Anglia, zgodzono się jednak dopuścić do obrad także przedstawiciela Rumunii, jako państwa posiadającego żywotne interesy na Bałkanach.

Po długich pertraktacyach co do charakteru tego „reunionu“, rozpoczęły się narady ambasadorów w dwa dni po rozpoczęciu rokowań pokojowych.

Na wstępie odbyła się konferencya u sekretarza stanu Greya, na której ustalono ogólne zasady, na których narady mają się opierać. Każda uchwała będzie powzięta tylko *ad referendum*. Obrady będą poufne. Przedmiotem ich między innemi będzie kwestya Albanii, francuski protektorat nad katolikami na Wschodzie, sprawa otwarcia Dardanellów i t. p.



„Reunion“ ambasadorów w Londynie: Ambasador niemiecki ks. Lichnowsky.

O ile przebieg rokowań pokojowych będzie pomyślny, podobnie i narady ambasadorów dojdą do pozytywnych rezultatów, od których zależeć będzie spokój Europy.



Tam, gdzie narodził się Chrystus: Ogólny widok miasta Betleem.



Tam, gdzie narodził się Chrystus: Żłobek w kościele Bożego Narodzenia w Betleem.



EDMUND BIEDER.

W BIELUTKIM DWORKU.

I wstał z opłatkiem dziaduś stary
W bielutkim dworku pośród drzew...
I w oczach mu się skrzą pożary,
Choć skroń już siwa... — stara krew!...

Wyciąga chude swoje dłonie,
Opłatkiem białym dzieli się...
I błogosławi wnucząt skronie
I z pod rzęs siwych ściera łzę...

Hej! Hej! Marzenia!... ideały!...
Jak też to prędko leci czas!...
Sny cudne wiatry dawno zwiały,
Na zrębach starych — nowy las...

Hej! Hej! Pamiętam... młodość... złuda...
To było dawno... dawno już...
To były orle wzloty... cuda...
Och Boże! cud mi ten dziś stwórz!

Hej! hej! Pamiętam... młoda wiosna!...
A dziś... nad grobem stary człek...
Skonała życia pieśń radosna
I śnieg na skroni... biały śnieg...

I cisza w świętej dziś gontynie...
Wycięty stary święty las,
A rzeka płynie... życie płynie...
I może w drogę czas... już czas...

W bieluśkim dworku dziaduś stary
Zasnął — kominek jeszcze tli,
W pokoju tańczą jakieś mary...
Nie budźcie dziadzia — niechże śni...

EDMUND BIEDER.

W NOC WIGILIJNĄ.

Miasto otulało się zwolna w mrok szary... Ruch na ulicach słabnął coraz bardziej. Tu i ówdzie zamajaczyła jeszcze sylweta kobiety w chustce, niosącej do domu, tanie, bo w ostatniej chwili kupione drzewko, tu i ówdzie zaturkotały koła powozu i echo turkotu ginęło w dali. Latarnie uliczne świeciły jakoś niesamowicie i stały długim szeregiem wzdłuż trotoarów, które coraz bardziej pustoszały. Ciepły puszysty śnieg zaścielał coraz grubszą warstwą chodniki i na świecie stawać się poczęło jasno i biało...

Noc wigilijna... noc cudu!...

Chrystus się rodzi!...

Tadeusz Szczerski szedł pustemi ulicami, w futrze z podniesionym kołnierzem, szedł bez celu za patrzony w białe płatki śniegu, które padały jednostajnie przed jego oczyma, szedł zamyślony i jakoś dziwnie smutny, a w głowie kotłował mu chaos. Czuł się strasznie samotny i ogromnie biedny. Od czasu do czasu rzucał dobre, serdeczne spojrzenie na małą psinę, która szła z nim razem, a piesek jakby czuł, że jest jedynym drogim przyjacielem, jakiego Szczerski na świecie posiada, zwracał ku niemu ustawicznie mądre swoje oczki, jakby chciał pytać, co to pana boli.

Dokąd iść?... co począć w ten wieczór?

Miał kilka zaproszeń, ale korzystać z nich nie śmiał i nie chciał. Wiedział dobrze, że gdy świeczki na choince zapłoną i że kiedy przy opłatku szczęśliwi i zadowoleni z życia jego znajomi poczną sobie składać wzajemne życzenia, z tą prostotą i serdecznością, jaką chowa się długo w pamięci, mimowoli nasuną mu się wspomnienia własnego szczęścia, które minęło jak sen...

A Szczerski bał się wspomnień. Tępił je bez litości w jakiemś dzikiem zapamiętaniu się, w jakiejś żałosnej rozpaczy, która kazała mu sobie powiedzieć, że na świecie jest sam, tylko sam, a koło niego morze całe ohydy, kłamstwa, i tych małych ludzkich podłości, popełnianych codzień, zarówno przez pospolitych rzezimieszków niższego rodzaju, jak i tych, co na świecznikach stoją. Znał ich dobrze.

Niegdyś!

Ha! niegdyś! Niegdyś Szczerski szedł jak dzieciak mały z palcem w buzi zapatrzony w gwiazdy, i choć głowę nabijał guzami o słupy, wierzył, że tylko ręką sięgnąć, a gwiazdy można zrywać z nieba. Takie marzenie i taka wiara ożywiają zawsze bardzo młodych młodzieniaszków, a Szczerski miał ją jeszcze w chwili, kiedy nadszedł „wiek męski, wiek klęski".

To się czasem zdarza...

I zdarzyło się Szczerskiemu, że kiedy Hanka, dziewczyna błękitnooka i słonecznowłosa, w cichy cudny poranek lipcowy powiedziała mu nad Wodospadem Mickiewicza w Tatrach, że go kocha, że poza nim świata nie widzi, Szczerski uwierzył, a uwierzywszy pokochał Hankę tak mocno, że poza nią nie widział nic, jeno szarą pospolitość i przeciętność.

I uświadomił sobie, że ta dziewczyna cudna pierwsza wpiła mu się w usta dziewczęcemi wargami i szepnęła w ucho, „mój mój, Dziut" i przypomniał sobie, że przypadł do jej kolan i zaczął całować ręce, oczy i włosy i szeptał „moja! moja! jedyna! moja Hanka"!

— Psiakrew! Nerwy! — syknął Szczerski, zły, że właśnie teraz wspomnienia zaczynają obsiadać go znowu.

Wiedział, że jest poza brzegiem dobra i zła, wiedział, że to, co się jaskrawo wżera w oczy, jako ideał życia, to płaska bezwzględnie forma kompromisu, zawartego między mieszczańskim i bardzo tanim morałem, a bardzo wyuzdanym i skrytym cynizmem. Ta strona życia mało go obchodziła, tem więcej, że widział koło siebie kółeczko zadowolonych i sytych i dobrze odzianych z tą drobną przymieszką szubrawstwa, które czyni zazwyczaj z człowieka 0+0=1.

Miał ich dość i ilekroć zetknął się z nimi, odkąpać się nie mógł z tego brudu psychicznego, jaki zostawiali mu po sobie na pamiąt kę.

A jednak... Szczerski żył z nimi. A kiedy przyszła Hanka, ta dziewczyna cudna i dobra, kiedy mu się zdało, że z nią razem słońce i radość zstąpiły do niego, by go nie opuszczać już nigdy, Szczerski idealista zczyniczały stał się jak małe dziecko, które wierzy w świętości.

I z poety słowa stał się poetą życia. — Szkoda tylko wielka, że własnego.

Hanka odeszła. Przyszła i odeszła... Takie to proste i takie jakieś dziwnie rozumne i jasne!...

Oh! Bardzo rozumne!

— Widzisz mój piesku, tyś został, tyś nie chciał opuścić swojego pana, który cię kocha i nigdy nie wyrządził ci krzywdy, boś ty taka mała dobra psina, która nie umiałaby płacić nienawiścią za miłość — odezwał się Szczerski głośno do pieska, który mu towarzyszył.

Piesek nastroszył uszka i spojrzał na Szczerskiego oczami, w których jaśniał bezmiar przywiązania.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się ironicznie Szczerski. — Wieczór wigilijny, ciepło rodzinne, opłatek, poetyczna scenerya z cudowną treścią, a często nawet bez treści, i siwe oczki małych dzieci, wpatrzonych w choinkę płonącą, jak w cud... i to dobre ciepełko, co każe chwilowo zapomnieć, że z chwilą, kiedy świeczki na choince przygasną, znowu rozpocznie się tasama mniej lub więcej niewesoła komedyjka, która jest małem kłamstwem i zarazem szczerą prawdą życia.

Patrzał w okna, oświetlone rzęsiście i przypomniał sobie, że kiedyś, dawno i u niego tak samo jaśniało od światłości w oknach i miał światłość w duszy.

Sentymenciczek i maluśka zazdrość, a równocześnie taki nieuświadomiony jeszcze, ale już dość jaskrawy głodzik szczęścia począł mu ogarniać duszę. Taka katarynka podwórzowa, która gra dawno prześpiewane walczyki, znane wszystkim ulicznikom...

I znowu począł myśleć o Hance.

I znowu ogarnęła go tęsknota za czemś dobrem, za czemś swojem i tylko swojem, a w uchu poczęła mu grać zwrotka jego własnej poezyi o szczęściu, które jest niczyje...

Czyli naprawdę niczyje?

Skierował kroki w stronę Rynku. Było pusciuteńko. I naraz poczuł dziwne ukojenie. Ten rynek pusty, bez ludzi, ten rynek, który Szczerski ukochał za to, że taki jest cudny nocą, kiedy ludzi na nim nie ma, stał mu się w tej chwili drogim podwójnie, bo ilekroć znalazł się na nim sam, bez towarzysza, tylekroć zapominał o sobie samym, a stawał się właśnie takiem małem dzieckiem, które podziwia cudo...

I miał Szczerski na tym rynku taką małą swoją świątynię dumania między kościołem Panny Maryi a świętej Barbary, ostatni zabytek średniowiecza, kącik mało znany ludziom, który lubiał odwiedzać, kiedy mu było niedobrze. I teraz właśnie w tę stronę podążał, chcąc zapomnieć o Hance, wigilii i własnej, samotnej doli, jaka mu się w ten właśnie wieczór zaczęła jaskrawie uświadamiać.

I śnił o szczęściu, które jest niczyje...

A jednak każdą fibrą swojego istotnego ja, każdą najczystszą i najgłębszą tęsknotą serca swojego modlił się o swoje szczęście, które jest dzisiaj niczyje...







Hanka! Hanka! — krzyczało mu w duszy.

A drugi pan, z którym dotąd nie załatwił rachunków za ostatnią wiarę w to, że Hanka jest wcieleniem cudu, zaczął mu podpowiadać: „Idź do Chantantu Hamlecie! Otoczą tam ciebie dziewczynki błękitnookie i palącookie, byleś był „chevalier“ albo „nobler Cavalier“ i byleś miał dużo złotych okrąglaczków

„Trink'ma noch a Flascherl“.

Nieprawdaż, bałwanku głupi, kretynku skazany na zagładę, jednem słowem samczyku luby, wzdychający do lubej samiczki, której na imię Hanka, czy Aranka, że to znacznie zabawniejsze, milsze i weselsze, a przedewszystkiem prawdziwsze i racyonalniejsze życiowo, niż wszystkie twoje sonety razem, czy osobno, wzięte. Bo to jest życie!

Słyszysz panie Szczerski! To nie jest kłamstwo, jak wszelka poezya wogóle, a więc i twoja w szczególności, ale to jest życie!

Bo widzisz, mój chromy ślepcze — prawił dalej drugi pan w duszy Szczerskiego — trzeba, żebyś sobie nareszcie uświadomił w swoim tępym i dla prawd niezbitych nieco nieprzystępnym móżdżku, że złoty okrąglaczek plus końskie zdrowe pożądanie daje w sumie to, co wy poeci nazywacie miłością. Zrozumieli to już dawno wszyscy komiwojażerowie, kupcy i inni porządni ludzie i umieli życie swoje nagiąć do tej biblii, jeno ty niebożątko zrozumieć nie chcesz, czy nie możesz, jako iże sądzisz, że twoje jest królestwo niebieskie, a ubogim w duchu byłeś zawsze i być nie przestajesz. Bolesne przejścia i zawody miłosne, to rzeczy nawet pożądane czasem, to taki kawior, który zaostrza apetyt, ale wkładać w te rzeczy życie swoje całe, na to trzeba być urodzonym głupcem, albo lekkomyślnym młodzieniaszkiem, który na jedną stawkę ryzykuje wszystko. Taki pociąg do hazardu, to wprawdzie bardzo poetyczna i piękna cecha twego charakteru, ale na miłość boską, trzeba mieć obok tego chociażby kapkę, choćby odrobinę zdrowego rozsądku, który ty odrzucasz, jako rzecz zgoła zbyteczną.

Hanka! — zawyło w duszy Szczerskiemu!

A właśnie Hanka! — odezwał się pedagog Szczerskiego. — Właśnie Hanka!... Biegnijże czemprędzej do domu, siadaj przy biurku i pisz, bo nuż „natchnienie“ ucieknie! A jeśli uda ci się napisać niezgorszy sonet, nie zapomnij przesłać go czemprędzej Hance i bacz, aby był kaligraficznie przepisany, bo kobiety mają dziwną słabość do pięknego, czytelnego pisma. To także tłómaczy, dlaczego kucharki odczuwają nieprzeparty pociąg do żołnierzy.

A widzisz, drogi mój przyjacielu! Ja, na twojem będąc miejscu, zamiast zachwycać się rynkiem i wieżami kościołów krakowskich, zamiast wdychać w siebie aromaty sosów rybich, jakie w tej chwili drażnią ci powonienie, zamiast sklamrzeć w rozpamiętywaniu wszystkich urojonych, czy prawdziwych przymiotów Hanki, która była i której niema teraz, poszedłbym sobie teraz na rybkę do jakiejś przyjemnej, a przedewszystkiem nieliterackiej i nieartystycznej rodzinki, napiłbym się dobrego winka jedną, dwie, trzy buteleczki, aż do stanu przyjemnego bezwładu i słodkiej bezprzytomności, a potem przejechałbym się dryndułeczką, ażeby troszkę oprzytomnieć i ukryłbym się w jakim zacisznym szantaniku, gdzieby mi dziewczynki zaśpiewały i zaśpiewały, na tę miłą uszom moim nutkę:

„Trink'ma noch a Flascherl!“

Szczerskim dreszcz wstrząsnął...

Pod rzęsami poczuł wilgoć, a na duszy zrobiło mu się jakoś luto...

Podszedł na mały placyk między kościołem Panny Maryi a Świętej Barbary i przystanął.

Cicho tu było i pusto, jak zwykle. W niszy pod kościołem Maryackim majaczyło mdłe światło latarni.

Chrystus się rodzi!...

Boże! Boże! zapłakało w Szczerskim, że to dziś, w taki wieczór sam... bez Hanki... i tak już zawsze sam!... I dlaczego?... dlaczego?!..



Ha! los!

A jakże los!

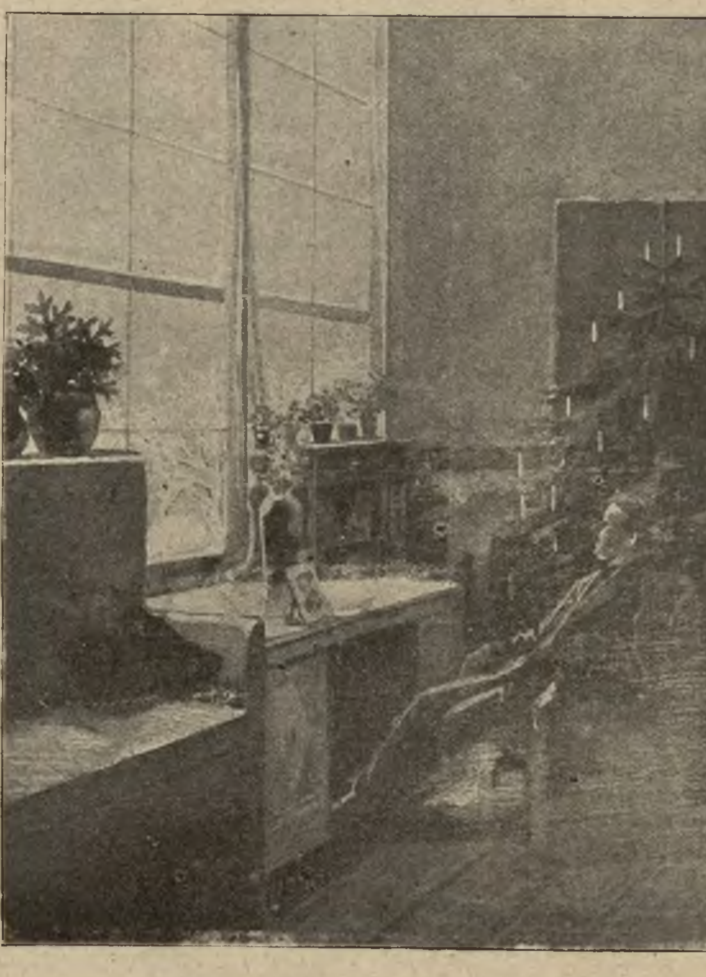
— Ostał ci się ino pies — usłyszał za sobą.

W tej chwili stanął przed nim pan w pelerynie z długą, czarną brodą.

Był to Wicek Brzeski, globetrotter, żyd wieczny tułacz, poeta, literat, dziennikarz i robotnik fabryczny w jednej osobie.

— Ostał ci się ino pies — powtórzył Wicek. — Widzę, że cię zajmuje historya gotyku. Cudowny styl!

Szczerski nic nie odpowiadał.



— Widzę, żeś znowu wpadł w parszywe bagienko liryczne. Szkoda cię! Pluń! Po kiego ci to dyabła? Wiem... wiem... co mi odpowiesz... Szczęście... No! no! no! żeś ty jeszcze taki naiwny! Hanka? Hm! Zapewne! Rasowe to było.. przyznaję, ale to tylko kwestya skóry... Szkoda, że ty koniecznie chcesz się kochać i w skórze i w duszy! To takie rzadkie... prawie niemożliwe...

— Czemu ty mnie Wicek drażnisz? — zagadnął Szczerski zimno.

— Bo mi cię żal, nieboraku!

— Nie żałuj. Nie potrzeba mi niczyjego współczucia! — odparł Szczerski szorstko.

— Ale ja za to potrzebuję twojego. Głodnym. A i napić by się czegoś wypadało. Masz pieniądze — dawaj guldena!

Szczerski otworzył portmonetkę.

— Może ci potrzeba więcej, mam — więc bierz, ile ci trzeba.

— Dawaj pięć!

— Bierz pięć.

— Dziękuję ci — zwrócę, jak będę miał. Co robisz wieczorem? Idziesz gdzie?

— Nie. Nigdzie!

— Toś głupi. Co do mnie to przedewszystkiem pójdę coś zjeść, bom głodny od rana. Następnie popiję. — Nie! Wiesz, że ta Polska wogóle, a Galicya w szczególności do rozpaczy doprowadzić może. Tam szał... radość u Francuzów — knajpy pełne... karnawał... a u nas zawsze ta głupia przymieszka przypalonej woskowej świeczki, nieszczerych łez rozrzewnienia i wulgarne urżnięcie się do szczętu, a potem jazda na pasterkę! W tych prymitywach jest może zdrowie, siła, tradycya i jak się to tam wszystko nazywa — ale co do mnie — to wściekle tego wszystkiego nie znoszę. I dlatego żegnaj łabędziu mój, któryś oto stanął na drodze mojego żywota niby matka rodzona głodne karmiąca dzieciątko. Żegnaj i stój dalej jak idyota między dwoma kościołami, gap się na murki i marznij razem z twoim ukochanym pieskiem Nygim, który coraz bardziej upodabnia się do swojego pana, bo ma szelma taką samą głupio smutną minę, jak ty!

— A niezapomnij wstąpić do jakiej knajpy żydowskiej, żeby psu kupić mięsa, bo pewnie dziś tak samo nie jadł nic, jak ja — krzyknął Brzeski na odchodnem.

I jeszcze zdaleka:

— Ostał ci się ino pies?...

Szczerski miał dość...

Chciał zrazu, jak to miał zamiar iść za miasto, ale teraz po odejściu Brzeskiego ogarnął go jeszcze większy żal. Bo uświadomił sobie w tej chwili, że jedyną myślą jego tej nocy będzie Hanka, i że tej myśli swojej o niej już w sobie wytępić nie zdoła.

Szybkim krokiem zawrócił więc w stronę domu. Pies przypadał mu ustawicznie do nóg i łasił się i kręcił ogonkiem, kontent, że pan wraca. Wszedł do pokoju i zapalił lampę.

Pusto... smutno... och jak smutno!...

Za ścianą śpiewają:

„W żłobie leży, któż pobieży“.

Szczerski otworzył szufladę biurka, wydobył z niej fotografię i zaczął się w nię wpatrywać długo... długo...

I zapłakał... Nie płakał tak dawno...

Ale Szczerskiemu nie siebie było żal, było mu żal Hanki i nad nią zapłakał, nie nad sobą.

Sam był mocny.

A zza ściany szła dalsza strofka:

„Pastuszkowie przybywajcie
Jemu wdzięcznie przygrywajcie“..

I te proste serdeczne słowa kolędy utuliły go w sen dobry i cichy i śnił, że Hanka z nim razem łamie się opłatkiem i szepce mu w ucho, „mój miły, jedyny, mój Dzik“ — jak go zwykła nazywać.

I tak zasnął z fotografią Hanki w dłoni.

Zbudził się o świcie szarym...

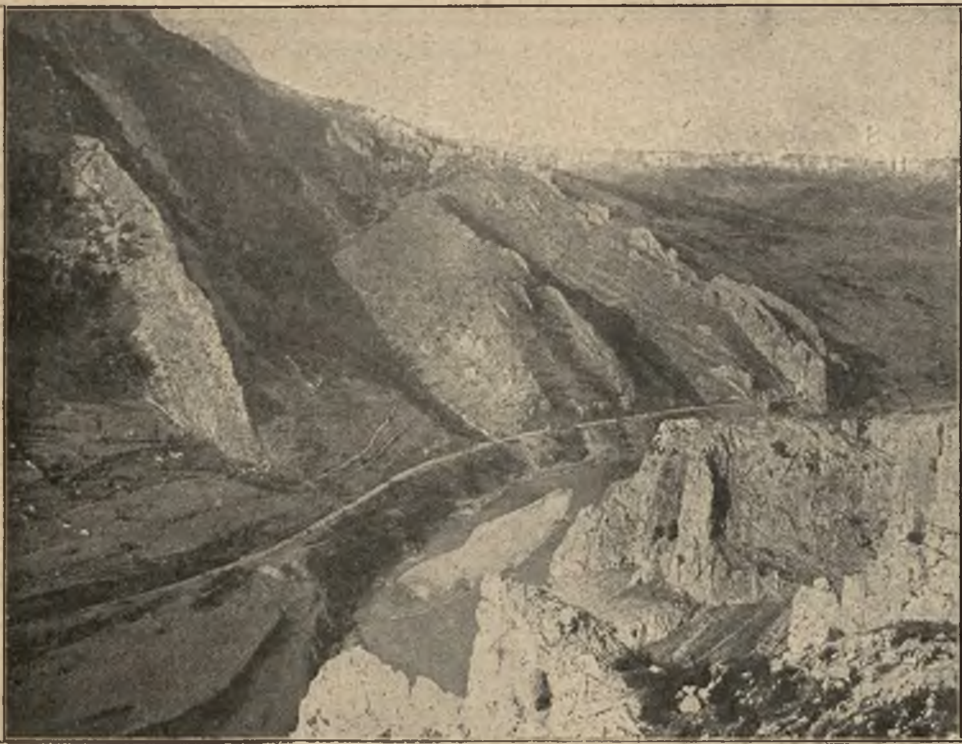
Na biurku leżała fotografia, która z rąk wypadła mu we śnie, a u stóp spała wierna psina, złożywszy znęczoną główinę na przednie łapięta.

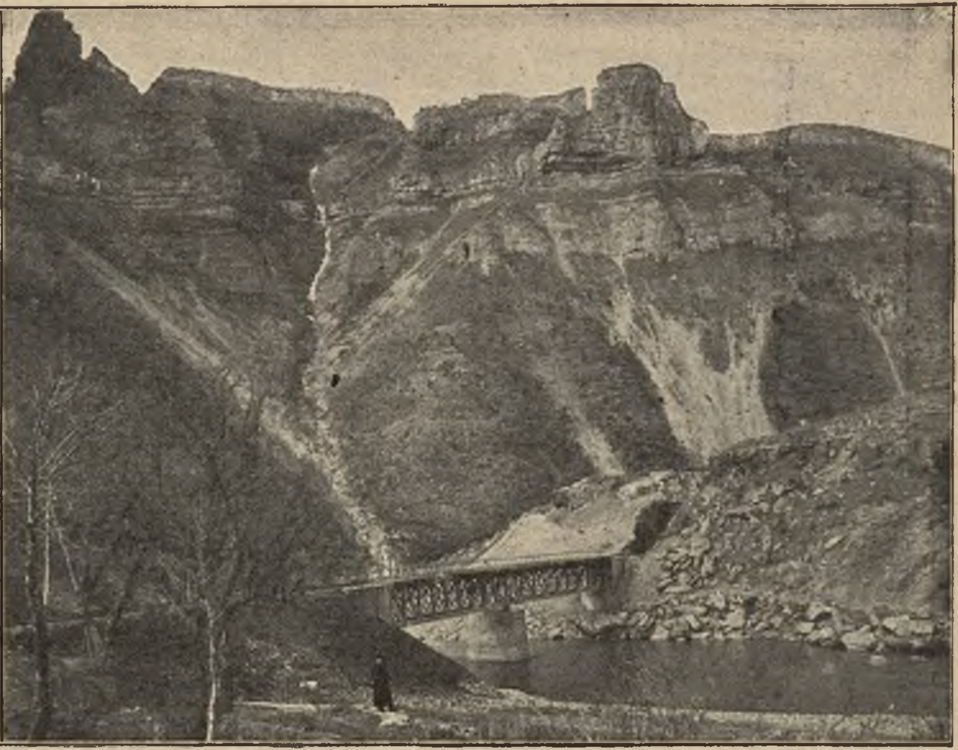
Podniósł psa z ziemi i serdecznie go ucałował w czoło... „Nygi! mój drogi Nygi“!

To psie czoło pieściła niegdyś i całowała Hanka.

Ale Hanki nie było...

KONIEC.





Wulkan Europy: Linia kolejowa z Zofii do Plewny.

Wulkan Europy.

Krwawa zawierucha wojenna, której ostatnie epilogi rozgrywają się obecnie w Londynie, zwróciła znowu uwagę całej Europy na Bałkan. Nie od rzeczy też będzie w kilku bodaj ogólnych rysach przypomnieć tło, na którem obecnie wypadki bałkańskie się rozgrywają i wskazać na niektóre ważne momenty dziejowe, które do obecnego konfliktu doprowadziły. Na pozór wydaje się dziwnem, iż nagła zmiana stosunków państwowych na półwyspie bałkańskim tak zelektryzowała całą Europę, iż ukazało się aż widmo ogólno europejskiej wojny. A jednak w gruncie rzeczy walki na Bałkanie mają daleko sięgające podłoże historyczne.

Mocarstwa europejskie, ustalając na kongresie w Berlinie granice państw bałkańskich, dały Turcyi znaczną przewagę terytoryalną nad swymi najbliższymi sąsiadami. Główną rolę w całej tej akcyi odegrały Niemcy. I nic dziwnego. Dzięki utrzymaniu Turcyi zachowały sobie mocarstwa europejskie, a zwłaszcza żywioły germańskie możność ekonomicznej ekspanzyi na Wschód. „Chory człowiek“, za którego Turcyę zawsze uważano, stał się z biegiem lat powolnem narzędziem w ich rękach. Nie pozwolono mu „zdrowieć“, gdyż tego wymagała ogólno-europejska polityka. Ludy słowiańskie, które Bałkan zajmowały, dopóki były słabe, nie stanowiły żadnej tamy dla ekspanzyi germańskiej. Z latami jednak zaczęły się u tych ludów budzić ideały narodowe, zaczęło się budzić poczucie siły i zdolność do zaborczości.

W Turcyi o lepsze walczyły trzy wpływy: niemiecki, rosyjski i angielski. Dla Niemiec i Anglii utrzymanie Turcyi na powierzchni polityki bałkańskiej stanowiło choćby dlatego ważne zadanie, że zamknięta w obrębie Morza Czarnego Rosya, nie mogła podnosić żadnych roszczeń o zyskanie wpływu na morze Śródziemne. Anglia przez sprytne rozmieszczenie swych posterunków we wszystkich waż-



Wulkan Europy: „Czeta“ macedońskich powstańców.





Wulkan Europy: Widoki z Bułgaryi.

niejszych punktach tego morza była tu właściwą panią. Niemcy zaś mając otwarty dostęp do Turcyi przez związaną przymierzem Austryę utrwalały w niej swe znaczenie, kształcąc wojsko tureckie i zajmując rynki handlowe.

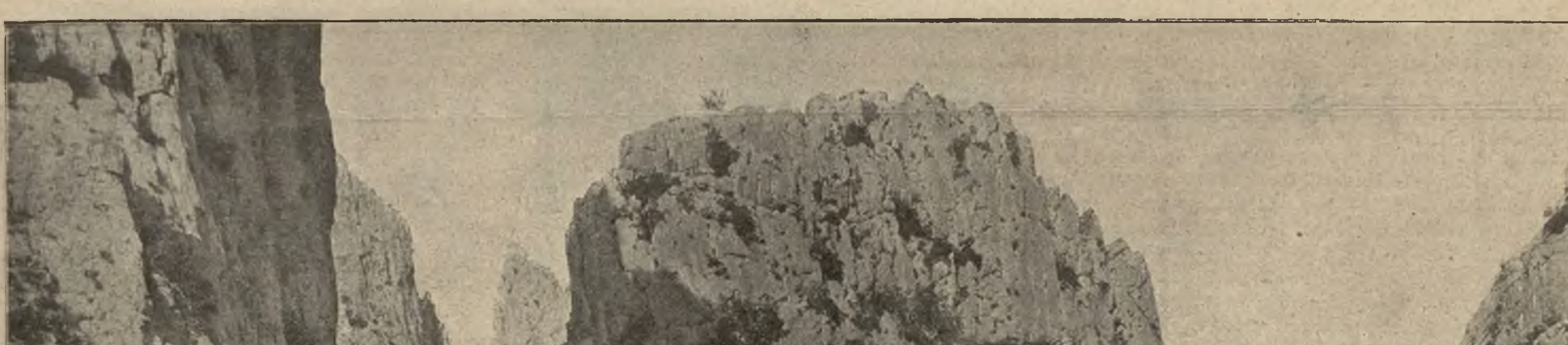
Nic też dziwnego, że Rosya zaczęła szukać dla siebie także sojuszników na Bałkanach, przez których mogłaby przeciwstawić się tym dwom współzawodnikom. Znalazła ich w ludach słowiańskich. Chętnie też użyczyła im pomocy, gdy ludy te zaczęły się podnosić, aby zrzucić jarzmo tureckie.

Pierwszy wyłom w zasadach polityki bałkańskiej w myśl traktatu berlińskiego zrobiła Bułgarya. Ona pierwsza zabrała Turcyi Rumelię. Po niej zaczęła ruszać się Serbia, która dzięki swej liberalnej konstytucyi ukształtowała się wewnętrzne na duchowo silne państewko.

Obok sąsiadów, którzy łakomym wzrokiem patrzyli na tureckie posiadłości, w granicach samej Turcyi tkwiły dwa ogniska ciągłych niepokojów, które wreszcie stały się ową miną, która rozsadziła Turcyę. Była to Macedonia i Albania. Obie zamieszkałe przez szczepy nie tureckie, były od szeregu lat widownią powstań podsycanych i niejednokrotnie wywoływanych przez sąsiadów.

W ostatnich latach cały Bałkan zawrzał. Z jednej strony Turcya, chcąc utrzymać ostatki władzy, z rąk jej się wymykające, chwyciła się środków ostrzejszych, tłumiąc bunty w Albanii i Macedonii, z drugiej zaś strony państwa słowiańskie zaczęły coraz bardziej nabierać pewności siebie i coraz gwałtowniej domagać się od Turcyi, aby albo stała się „zdrowym człowiekiem“, albo ustąpiła w Europie miejsca im, które uważały się już za dostatecznie dojrzałe do rozpoczęcią życia na szerokich podstawach politycznych.

Od roku 1911 rozpoczynają się więc powolne układy o utworzenie Związku bałkańskiego. Myśl tej akcyi wyszła z Bułgaryi i najpierw znalazła od-



Wulkan Europy: Osada bułgarska na granicy Macedonii.

dźwięk w Serbii, za tą poszła Czarnogóra, a wreszcie i Grecya. Powstanie tej nowej formacyi politycznej trzymane było długo w tajemnicy przed całą prawie Europą. Kiedy zaś mocarstwa zoryentowały się w tem, co się dzieje, sprawy zaszły już tak daleko, że nie pozostało im nic innego, jak biernie wyczekiwać wyniku akcyi, która lada dzień mogła być podjęta.

Wszystkie wielkie mocarstwa skierowały obecnie swe usiłowania w tym kierunku, aby utrwalić swe wpływy przedewszystkiem w Turcyi, a potem w poszczególnych państwach bałkańskich. I jeśli dzisiaj zatarg na Bałkanach znajduje tak żywy oddźwięk w całej Europie, to jest to następstwem właśnie tej rywalizacyi, jaka o Wschód Europy między wielkiemi mocarstwami od lat się toczy.

Dlatego to równorzędnie z rokowaniami pokojowemi w Londynie obradować będzie konferencya ambasadorów sześciu wielkich mocarstw Europy. Dlatego także łatwo stać się może, iż z Londynu nie wyjdzie pokój, ale wojna i wtedy może to być tylko wojna ogólno-europejska.

Tak wygląda historyczna rola Bałkanu. A teraz kilka słów o tych ludach słowiańskich, które dziś walczą tam o swe prawa. Na czoło ich wybijają się Bułgarzy. O ich charakterze wiele się obecnie mówi i to w różny sposób. Najlepszą charakterystykę ich daje jednak pewien korespondent szwajski, który w ten sposób ich opisuje:

„W armii bułgarskiej mówią wiele o artykułach, jakie się świeżo ukazały w prasie niemieckiej i francuskiej, o gburowatości, nieuczoności i nieufności Bułgarów wogóle.

Znając Bułgarów oddawna dobrze, uważam sobie za obowiązek zaprzeczyć jaknajkategoryczniej oszczerstwom które pochodzą ze źródła niemieckiego.

Żaden kraj nie zna Bułgarów tak dobrze, jak my Szwajcarzy. Setki ich przyjeżdżało do nas corocznie na studya. Otóż studenci bułgarscy w uniwersytetach szwajcarskich to najpracowitszy i najspokojniejszy żywioł.

Niemcy skarżą się na zbytnią surowość cenzury wojskowej bułgarskiej. Otóż uważam tę surowość za zupełnie usprawiedliwioną wobec tendencyjnego i wrogiego traktowania przez gazety niemieckie spraw bułgarskich.

Zarzucają Bułgarom okrucieństwo! Jeżeli nawet były — a zapewne były — czyny, które można podciągnąć pod to określenie, to czyż nie są one usprawiedliwione, jako odruch ludu, który powstał, aby pomścić okrucieństwa i gwałty, dokonane na żonach i córkach braci.

Bułgar jest nieufny z natury, ale przecież przez pięć wieków żył w niewoli! Kto ich pozna bliżej, ten po za nieufnością tą znajdzie u nich dobre serce i nawet prostoduszność.

Żołnierzom bułgarskim Niemcy zarzucają nieuczciwość, skłonność do kradzieży.

Pewien kapitan opowiadał mi, że wciągu kilkunastoletniej służby w trzech oddziałach armii napotkał jeden jedyny wypadek kradzieży.

Ale — kto chce, ten i na słońcu znajdzie plamy.

Dziesięć koron.

U zegarka mego przyjaciela zauważyłem już dawno oryginalny brelok. Była to złota dziesięciokoronówka, na której jednak ząb czasu pozostawił głębokie znaki. Brelok ten otaczała dziwna jakaś tajemnica, o której mój przyjaciel nigdy nie opowiadał. Aż razu pewnego, a było to w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, pod wpływem jakichś wspomnień, które go opanowały, rozgadał się i ulegając naszym prośbom, opowiedział następującą historyę breloka.

— Wiecie — rozpoczął — że jako młody chłopak byłem dosyć lekkomyślnym ptakiem i gdyby sprawiedliwość nie była czasem ślepą, to za ten pieniądz siedziałbym już dawno w więzieniu. Ukradłem go bowiem i to w sposób dosyć niegodziwy i podstępny.

Przypominacie sobie zapewne — nie staram się tego dziś ukrywać — że byłem wówczas namiętnym graczem i członkiem pewnego klubu, bardzo wziętego, który w gruncie rzeczy nie był niczem innem, jak zwykłą jaskinią gry. Co wieczora spieszyłem do tego klubu, gdzie grałem, tracąc cały mój majątek. Co wieczora szedłem tam z nadzieją, że wrócę z wypchanemi złotem kieszeniami. Co z człowieka zrobić może taka fałszywa nadzieja, wie z pewnością niejeden z was. Z dnia na dzień stawałem się coraz bardziej zgryźliwym i nerwowym, aż wkońcu przyszła chwila, gdzie miałem w kieszeni wszystkiego tylko tysiąc koron.

Był to piątek, drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia. Przesądny, jak wszyscy gracze, byłem przekonany, że właśnie ten dzień przyniesie mi szczęście. Udałem się do klubu, postanowiwszy sobie wszystkie moje pieniądze rzucić na karty i albo wrócić z tysiącami, albo też przegrawszy wszystko, strzelić sobie w łeb.

Kiedy skręcałem w ulicę, przy której mieścił się klub, biła właśnie jedynasta w nocy. Pod bramą jakiejś kamienicy, którą mijałem, spostrzegłem siedzącą starą dziadówkę. Spała z wyciągniętą do prośby ręką, a kiedy ją mijałem, poruszyła się we śnie, jak gdyby mnie o datek prosić chciała. W świetle latarni dostrzegłem jej starą twarz, poorianą nędzą i troską i mimowoli sięgnąłem do kieszeni.

Między palcami poczułem kilka różnej wielkości monet, a nie przebierając wiele, wyciągnąłem pierwszą z brzegu, którą mogłem uchwycić. Spojrzałem na nią, była to dziesięciokoronówka, ta sama, którą tutaj widzicie. W pierwszej chwili zawahałem się, przypomniał mi się jednak przesąd graczy, że jałmużna, dana ubogiemu, wraca szczęście. Rzuciłem więc dziesięciokoronówkę w wyciągniętą rękę dziadówki. Nie obudziła się, ale mimowoli palce jej ręki zacisnęły się około pieniądza.

Pospieszyłem szybko do klubu. W myśli wyobrażałem sobie zdziwienie staruszki, kiedy, obudziwszy się, znajdzie złotą dziesięciokoronówkę, a także byłem ciekawy, co też los mi na dzisiaj przeznaczy, czy majątek, czy kulę rewolwerową.

W klubie gra szła już w najlepsze. Przybył książę K., bogaty milioner, znany ze swego szczęścia w kartach. Siadłem do gry i przez pierwsze pół godziny los uśmiechnął mi się tak szczęśliwie, iż z moich 990 koron miałem przed sobą 10 000. Rzecz prosta, że zacząłem grać tem zapalczywiej. Po chwili zacząłem przegrywać. Wprawdzie szczęście jeszcze raz pozwoliło mi odbić się na 50.000, ale potem, mimo wszelkich z mej strony wysiłków, szło coraz gorzej. Wreszcie wstałem od stołu bez centa w kieszeni.

Kazałem sobie podać zarzutkę i kapelusz i wyszedłem na ulicę. Noc była pogodna, mróz zelżał



zupełnie, zapowiadała się odwilż. Stara dziadówka drzemała jeszcze ciągle w swoim kąciku, a kiedy podszedłem do niej, ujrzałem moje dziesięć koron, błyskające w pół zamkniętej dłoni. Nagle w umyśle moim błysła szalona myśl. Rozejrzałem się po ulicy. Było cicho i pusto. Stanąłem.

A gdyby te dziesięć koron jej odebrać! Przecież ona nie wie wcale o tem, że je ma. Mogę je zabrać nie budząc jej, wcale.

A gdyby się obudziła? No, to jej wtedy powiem, że właśnie chciałem jej ten pieniądz podarować.

A jednak wahałem się. Mój czyn wydawał mi się strasznie podły. Gdy tak stałem, namyślając się, otwarto nademną w klubie okno i usłyszałem jak ktoś wołał:

„Panowie, bank przegrywa! Przypuśćmy ostatni szturm“!

To zdecydowało.

Przyskoczyłem do żebraczki, wyrwałem jej pieniądz z ręki i biegiem prawie zawróciłem do klubu. Udałem, że zapomniałem parasola, a ponieważ w sali klubowej grano w ruletę, przy czem książę K. trzymał bank, rzuciłem moją ukradzioną dziesięcio-koronówkę na trzynastkę i nie chcąc widzieć jej smutnego losu, wyszedłem do garderoby, rzekomo w poszukiwaniu za moim parasolem.

Po upływie długich kilka minut wróciłem na salę, gdzie zastałem wszystkich w ogromnem podnieceniu. Bank był rozbity. Spojrzałem na moją trzynastkę. Na ukradzionej dziesięcio-koronówce piętrzył się stos złota i banknotów.

Byłem bogatym. Objąłem bank i prowadziłem grę dalej. Zamiast rulety graliśmy w trente et quarante, później w bakarata, ale mimo, iż grałem z szaloną odwagą szczęście nie opuściło mnie ani na chwilę. O świcie wyszedłem mając w kieszeni 150 000 koron.

* * *

Przypomniałem sobie nagle starą dziadówkę. Przecież ona była sprawczynią mego szczęścia i ona powinna brać udział w mojej radości. Chciałem ją obdarzyć, hojnie wynagrodzić i zacząłem szukać jej po całej ulicy. Zapytałem policyanta, czy nie widział odchodzącej. Potwierdził, że istotnie widział, ale nie zwrócił na nią zupełnie uwagi. Wyjaśniłem mu, że mam bardzo ważne powody, dla których ją koniecznie znaleźć muszę. Poradził mi wtedy, abym udać się na inspekcyę policyjną i tam sprawę załatwić. Nie mając innego wyjścia udałem się do komisarza policyi, któremu całą historyę przedstawiłem, zmieniając tylko o tyle fakta, iż opowiedziałem mu, że szczęście przyniosło mi dziesięć koron, które chciałem dać tej dziadówce, a nie dałem. Zarazem zdeponowałem na policyi tysiąc koron z prośbą o wyszukanie starowiny i wręczenie jej ich.

Kiedy już żegnałem się z komisarzem, ten z uśmiechem odezwał się:

— Jeśli pan tej biedaczce owe dziesięć koron także przeznaczył, to dołącz je pan do tej tysiączki, jej się to z pewnością przyda.

Sięgnąłem do kieszonki, gdzie schowałem szczęśliwego inkluza i rzuciłem go na stół. Komisarz na dźwięk, jaki moneta wydała, spojrzał na nią bacznie, a pochwyciwszy ze stołu, zaczął jej się uważnie przyglądać. Po chwili zwrócił się do mnie:

— Jeśli pan chce naprawdę dziesięć koron ofiarować, to daj pan inne, gdyż te są fałszywe.

Zdumiałem się. Po paru tygodniach oddano mi tysiąc koron, dziadówki nie znaleziono. Od tej chwili jednak przestałem grać w karty.

Wilia mocarza.

Zapadał cichy wieczór wigilijny r. 1811. Już od godziny szóstej pracował Napoleon I. sam w swoim gabinecie w Tuilervach. Pochylony nad kartami geograficznemi i planami sytuacyjnymi zmarszczył wysokie czoło, na które spada niesforny czarny lok — to czoło ciężkie od myśli, ciężkie jak świat, którego zdobycie rozważa.

Za oknami wiatr przerzuca suchy, mrozem ścięty śnieg, a cicha, gwiaździsta noc powoli roztacza swój majestat nad tętniącym życiem Paryża.

Niecierpliwie przeszedł się cesarz po pokoju. Znowu przystanął. Rozłożony na biurku wielki atlas rozwarty wskazuje kartę Azyi, a nerwowa, mała, prawie że kobieca ręka cesarza szuka... wskazującym palcem kreśli drogę daleką, w poprzek Azyi drogę do Hindostanu.

Tak! Indye! Czyżby drogą lądową? Dlaczegóżby nie?

Skrzyżował ręce na piersiach i jakby z góry spojrzał na leżące przed nim karty.

Posiada już władzę Cezara, ba! Karola Wielkiego; majaczy mu się sława Aleksandra. Urzeczywistnienie tych wielkich wojen wydaje się jego potężnemu duchowi nie za wysokie. Wschód go już zna. Zapisał tam już swe imie bohaterskiemi wojnami, postawił wieczny pomnik. Wtedy widział go Nil jako dzielnego generała na grzbiecie wielbłąda. Teraz nad brzegami Gangesu on, cesarz, władca pół świata, stanie na grzbiecie słonia Porusa. Wie on, jak wzniecać zapał w narodach, jak je fanatyzować. W dalekiej Azyi stanie na czele brązowych żołnierzy z białymi turbanami. W sztabie generalnym zasiądą radżowie w błyszczących zbrojach. Losy swe powierzy indyjskim bałwanom, które dziesięć okropnych ramion wznoszą nad mitrą, sadzoną dyamentami. Ich o wyrocznię zapyta, a może chętniej odpowiedzą niż beznosy, tajemniczy sfinks, który w Egipcie nie dał mu klucza do tajemniczej jego przyszłości, choć godzinami wpatrywał się w kamienne jego oblicze, śniąc swe sny wielkie.



Cesarz Europy! Sułtan Azyi!

Porywają go te słowa niby magiczne jakieś głoski. Cel ten, ponętny, zaledwie zadowolnić zdoła jego bezmierną pychę. Jego geniusz zdolny jest do takiej pracy. Przecież nie potrzebuje się obawiać, że to potężne mocarstwo, którego śmiałe granice na mapę rzuca, rozpadnie się kiedyś jak Macedonia i stanie się łupem jego generałów. Od dwudziestego marca, Napoleon ma syna, spadkobiercę jego sławy i potęgi. Wspomnienie o tem dziecięciu, które niedaleko od jego gabinetu spi spokojnie w cichym pałacu, wywołuje uśmiech tryumfu na usta cesarza.

Nagle podniósł głowę. Do uszu jego wpadły dalekie dźwięki, jakby szmer spiżowy, który przekradł się do tego gabinetu poprzez ciężkie portyery. Cesarz słuchał... po chwili zaczął rozróżniać uderzenia dzwonów.

Spojrzał w okno i nagle przypomniał sobie: dzisiaj Boże Narodzenie, dzwonią na pasterkę!

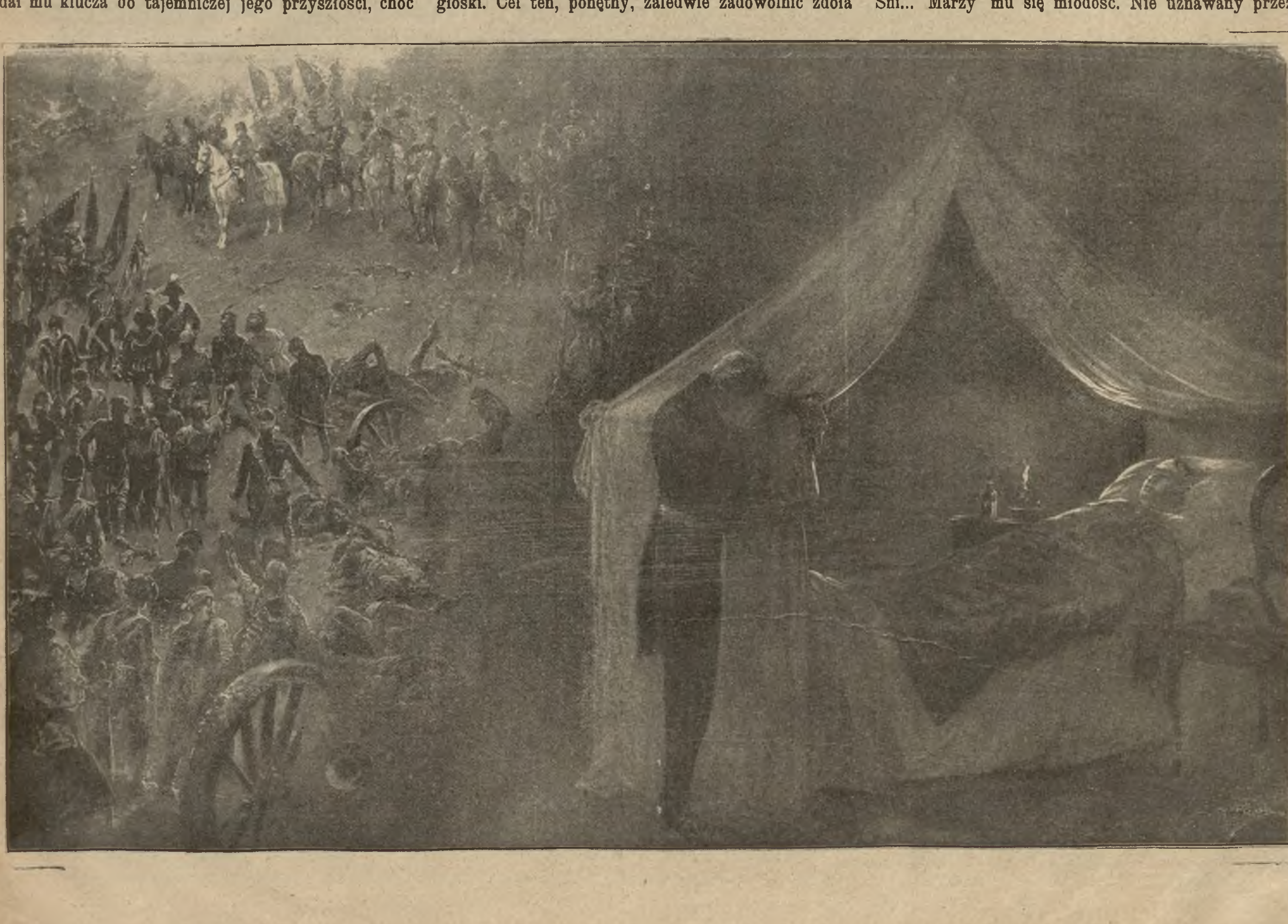
Rozdźwięczały się dzwony Paryża, głosząc cześć rodzącemu się Dzieciątku. Dzwony te dźwięczały podobnie w chwili, kiedy konsul Bonaparte zawieszał je znowu na wieżach kościelnych, przynosząc Francyi pokój i godząc powaśnionych braci.

Jakżesz głośno drgały ich serca, kiedy głosiły jego zwycięzkie Te Deum, a parę miesięcy temu obwieściły światu nowinę, że urodził się król Rzymu. Zdawało się wtedy, że samo niebo uznaje prawość dzieła cesarza i daje mu pierwszy zadatek trwałości.

W dzisiejszy wieczór nie głoszą tryumfów z pod Austerlitz i Wagram. Nie mniej radośnie jednak dźwięki ich lecą w ciemną noc zimową, głosząc chwałę Dzieciątka Betlejemskiego, które przed wiekami w tę noc właśnie spoczęło na słomie w ubogiej stajence. Rozśpiewane ich głosy zdają się nieść w gwiaździste przestworza hymn:

„Chwała Bogu na wysokościach,
A na ziemi pokój ludziom dobrej woli!“

Cesarz wsłuchał się długo w głos dzwonów. Sni... Marzy mu się młodość. Nie uznawany przez



świat, nie rozumiany przez swoje otoczenie, szedł sam w życiową drogę. Przypomina mu się msza świąteczna, którą zwykł odprawiać jego wój, archidiakon katedry w Ajaccio. Widzi swą liczną rodzinę, wracającą po mszy do starego domu rodzinnego, tego niemego świadka tylu z dumą zneszonych upokorzeń, które na barki ich wkładała bieda. Staje mu przed oczyma wyniosła postać matki, która przyrządzała skromną wieczerzę wigilijną. Jego syn, syn zwycięzkiego cesarza i księżniczki austryackiej, nie zazna nigdy biedy. On musi być władcą świata.

Za oknami w mroźną noc zimową dźwięczą jeszcze ciągle świąteczne dzwony.

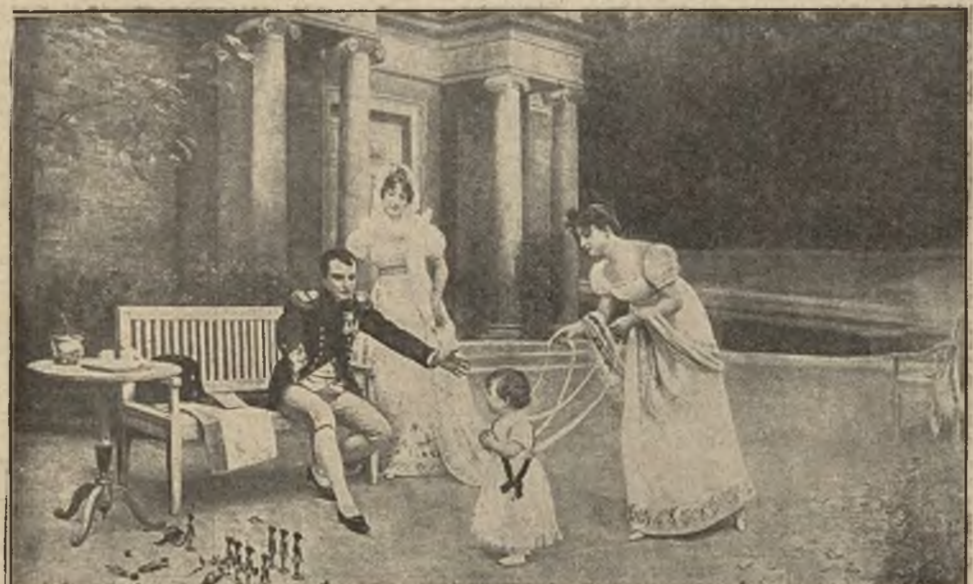
Przed głównem wejściem Tuileryów chodzi tam i z powrotem stary weteran. Gwałtownymi krokami mierzy przestrzeń między budkami, aby ogrzać sobie nogi. Na dźwięk dzwonów podnosi głowę nasłuchując, a na stwardniałej, wichrami pooranej twarzy zjawia się cichy uśmiech. Może marzy mu się modlitwa lub piosnka świąteczna, której nauczył się przed dawnemi laty, może w pamięci odżywa mu wioska rodzinna i owe lata szczęśliwe, spędzone pod dachem rodzicielskim.

— — — — — — — — —

Cesarz uczuł nagle nieodpartą chęć ujrzenia swego syna. Wstał i zaklaskał w dłonie. Natychmiast otwarły się bez szelestu drzwi ukryte w tapecie, a na progu komnaty stanął wierny Rustan. Na znak swego pana ujął w dłonie świecznik. Cesarz szybkim krokiem spieszy przez opustoszałe korytarze do komnaty, w której śpi mały cesarzewicz. Skinieniem ręki odprawia niankę i obudzone nagle ze snu damy dworu. Pozostawszy sam, zbliża się szybko do kołyski swego dziecięcia.

Król Rzymu śpi głęboko. Drobna, miła twarzyczka spoczywa wtuloną w śnieżne białe poduszki, mała rączka uchwyciła za brzeg kosztownej koronki kołderki. Ponad tym obrazem czystości i niewinności ciągnie się rozpięta szeroka, czerwona wstęga legii honorowej, jak strumień krwi, który musi popłynąć jeśli ta, dziś jeszcze tak słaba główka uwieńczyć ma swą skroń pewnego dnia najcięższą z koron świata, jeśli kiedyś ta mała rączka, dziś tak drobna i piękna, jak kwiat, ująć ma całą wiązkę bereł... władztwo świata.

Napoleon wpatrzył się w swego syna. Uczucie dumy podnosi mu pierś, gdy sobie przypomina, jak wysocy dygnitarze jego dworu, okryci chwałą generałowie, jego ministrowie i senatorowie w kapiących złotem mundurach, kłonią się nisko przed tą kołyską, a jakobini, owi renegaci, dawni krolobójcy, którzy dzisiaj przywdziali liberyę cesarską, zaledwie ośmielają się prosić o pozwolenie ucałowania rączki dzieciątka.



I tutaj dosięgnęły go rozkołysane dźwięki dzwonów, a płomienny duch cesarza zdaje się wyczuwać w ich rytmicznych tonach dochodzące go jakby z oddalenia odgłosy marszu wojsk jego, równomierny krok piechoty, szczęk armat, tam daleko, na śnieżnych polach Niemiec i Polski.

Przed wyobraźnią jego wstaje obraz ogromnej armii, idącej na pobicie Rosyi i Indyi. Przysięga, że pozostawi swemu synowi wszystkie trony starego świata, jako spadek. Jako pierwszą zabawkę rzucił mu miasto św. Piotra; wnet więcej mu ich w darze przyniesie.

Emir Mekki!
Radża Benaresu!

Oto tytuły. godne króla Rzymu. Dla czego Francya ma tak mało mieszkańców? Dla czego nie może on, niepokonany wódz, rzucić na szalę wypadków miliona, dwóch millionów żołnierzy!? Jabłko królewskie całego świata włożyłby wtedy w tę drobną rączkę.

Napoleon śni... lecz w tych wizyach, które przesuwają się przed oczyma duszy jego, niema ani strasznego grobu lodowego pod Berezyną, niema Waterloo, gdzie padły ostatnie jego orły cesarskie zdruzgotane kartaczownicami angielskiemi; nie widzi owej skały śród morza, na której trwał jak Prometeusz; nie widzi smutnego, bladego młodzieńca w białym uniformie, z piętnem śmierci na czole przechadzającego się w ponury jesienny dzień po parku w Schönbrunnie.

W noc wigilijną mocarz śni sen sławy, śmiałemi rzutami ducha zagarnia pod swe panowanie dla syna i wnuków całą ziemię.

A za oknami dźwięczą dzwony, głosząc chwałę ubogiego Dzieciątka z Betleemu, które zdobyło świat nie krwawem zwycięstwem, ale słowy pokoju i miłości.



WALERY PRZYBOROWSKI.

CIEŃ.

(Powieść z przed stu lat).

Autor zastrzega sobie prawo przedruków i tłumaczeń.

16

Wiem, że to było z mej strony wielkiem zuchwalstwem a nawet zbrodnią wdzierać się nocą do Twego dziewiczego pokoju i gwałtem kraść pocałunki z twych ustek różanych, ale ty nie wiesz, o Julio! jakie namiętności, jaką miłość gorącą i nigdy nie zapomnianą wzbudziłaś we mnie. Od chwili, gdym cię ujrzał poraz pierwszy, od tej chwili Twój obraz wyryty jest na wieki w mem sercu, odtąd o Tobie tylko marzę, o Tobie śnię i nie wiem, czy będę mógł żyć bez ciebie. I jeżeli błagałem cię przez Szydłę, byś mi pozwoliła się ze sobą potajemnie widzieć, to tylko dla tego, by ci wytłumaczyć wszystko i Twój szacunek, piękna Julio, a po szacunku i serce może zyskać. Nie zgodziłaś się na to okrutna! więc cóż miałem robić? Co noc z narażeniem mej wolności i życia krążyłem koło Twego domku w tej nadziei, że Cię ujrzę i przed każdym świtem odchodziłem zawiedziony i smutny, by cały dzień w ukryciu gorzkie łzy wylewać i by z nastaniem nocy znowu błądzić koło mieszkania boskiej Julii!

Alę na koniec Opatrzność wczoraj ulitowała się nademną. Ujrzałem Cię siedzącą w oknie.

Jakaż to była dla mnie radość! jakie szczęście! widzieć twą piękną twarzyczkę, oddychać tem samem powietrzem, czyż mogłem pragnąć więcej? O! jakże wdzięczny byłem Opatrzności! jak cudowną była dla mnie ta noc, ta chwila niezapomniana nigdy i wiecznie wyryta w mem sercu! Ale ty, o okrutna Julio! zamiast pozwolić się uwielbiać, chciałaś zamknąć to okno, zasłonić swój niebiański obraz, zniknąć i pogrążyć mię w rozpacz. Wtedy ogarnął mię szał jakiś, miłość dodała mi skrzydeł i ja, com nigdy nie próbował nawet dostać się na drzewo, przełamałem wszelkie przeszkody, niewiem już jakim sposobem po wysokich i gładkich ścianach zamku, wdrapałem się i znalazłem się obok ciebie, w twoim pokoju. Nieba! miałem cię nakoniec w moich objęciach, z Twych ust różowych ssałem słodycz boską! za me pocałunki, otrzymywałem w zamian Twoje! Julio! Julio! najdroższa istoto, niebiańska na ziemię zesłana, jakże ja Cię kocham! Ale okrutna, odepchnęłaś mię od siebie, kazałaś mi wyjść, nazwałaś mię złoczyńcą, puginał wepchnęłaś w serce moje!

Byłem ci posłuszny, bo gdybyś mi kazała w tej chwili umrzeć, umrę z uśmiechem na ustach. Ale ci się wytłumaczyć chcę, odzyskać Twój szacunek. O, gdybyś znała stan mego serca, nieszczęściem napojonego! nigdy nie gorzało ono ogniem tak świętym, nigdy dłań Twa niewinność i Twa cnota nie była tak drogą. Kocham cię, czuje to, ale jestem tylko człowiekiem i jest to nad siły ludzkie wyrzec się na wyższej szczęśliwości. Ta noc, ta jedna noc na zawsze zmieniła mą duszę. Gdybym to wspomnienie miał wcześniej, byłbym cnotliwym. Ale ta noc fatalna siedzi w głębi mego serca, noc niezapomniana! O Julio, ubóstwiana istoto! nie gniewaj się na mnie, na moje słowa wyrzeczone wtedy. Chcę cię mieć, chcę byś była moją, wszystkich sił użyję, by do tego dojść, ale gwałtu się wyrzekam. Przebacz boska Julio!

Nazwałaś mię złoczyńcą. Tak każdy sądzi i ty tak sądzisz, ale pragnę Ci otworzyć serce moje. Nie byłem przecież mnichem, bardzo życiowa zapędziła mnie do klasztoru, chciałem nieszczęścia moje pokryć kapturem mniszym, ale nie myślałem zostać tam na zawsze, bo wkrótce, patrząc na to, co się dzieje, uczułem obrzydzenie do tych ludzi. Próżniactwo, obżarstwo, pijaństwo, oto ich życie. W tem jeden z moich przyjaciół doniósł mi, że Cesarscy mają napaść na Księstwo Warszawskie, że trzeba braciom z za Pilicy dopomódz, wywołać w Galicyi powstanie, ale niestety! brak potemu broni i pieniędzy. Wiedziałem, że mnichy mają skarby, które leżą bezużytecznie, chyba na to, by poili się się lepiej i lepsze za ten grosz wina spijali. Wtedy powiedziałem sobie, że dla Oiczyzny trzeba tych skarbów użyć i póty ich szukałem, aż je znalazłem, a że zabrałem je pokryjomu, to dla tego, że chciwe mnichy nie byliby ich oddali. Oto moja zbrodnia, sądź sama, sądź najsumienniej, czym źle, czy dobrze zrobił. Powstanie w Galicyi wprawdzie nie wybuchło, ale wojna jest i nasi bracia muszą się zmagać z przeważnym nieprzyjacielem. Jutro stąd jadę za Pilicę i skarby zabrane oddam księciu Józefowi na obronę zagrożonej Ojczyzny.

Wiem, że mię Twój dziad szuka i chwytać każe, wiem, żeś potajemnie prosiła Szydły, by tego nie czynił. To obudziło może zwodniczą nadzieję w mem sercu, że jesteś mi przyjazną, że nie wierzysz w mą zbrodnię mniemaną, że z czasem może mię pokochasz. O słodka nadziei! gdyby nie ty, dawnobym już nie żył. Julio! boska Julio, bądź zdrowa, bądź zdrowa...

Twój do śmierci

Tomasz Gaworowski, w zakonie zwany Gwidon".

Takim jest ten okropny list, który czytając czułam, że mi twarz goreje od wstydu. „Z twych ust różowych ssałem słodycz boską, za me pocałunki otrzymywałem w zamian twoje!" Czyż przerzucając te wyrazy, nie miałam się czego wstydzić? I gdybyż jeszcze o tem nie wspominał, gdyby nie opisywał mej chwilowej słabości, mego przerażenia, mego omdlenia jakiegoś, nie! on to opowiada, powierza mój wstyd i moją hańbę zimnemu papierowi. O niegodziwości wielka. Wszak on dobrze wie, jak wiedział przed wiekami jego domniemany ojciec, mnich Dolabella, że ja tu byłam niewinna, jak niewinną była moja nieszczęśliwa praprababka! A jednak ona śmiercią okrutną odpokutowała za niepopełnioną winę, czemże ja odpokutuję? Ponieważ dotąd mój los, przez dziwną jakąś fatalność, jest tylko powtórzeniem losu mej praprababki, więc nieomal pewną jestem, że taki sam koniec mię czeka. O tak! nic mi nie pozostaje jak umrzeć! Śmierci! okrutna śmierci przybywaj!

Dnia 29 kwietnia 1809 r. Ciągle i wyłącznie zajęta jestem Gwidonem i jego okropnym listem, zastanawiam się i rozbieram w myśli wszystkie jego szczegóły, wszystkie nieomal wyrazy, i choć oburzam się, a raczej (bo czemuż to sama przed sobą mam ukrywać?) usiłuję się oburzać na jego zuchwalstwo, na to, że ośmielił się do mnie pisać to jednakże... Ośmielił się pisać! ależ on ośmielił się na większe rzeczy, on ośmielił się nocą dostać do mego pokoju, całować mnie i gdyby nie wspomnienie takiejże samej sceny z życia mej praprababki, to nie wiem, na czemby się to skończyło. Cóż wobec tego znaczy jakiś tam list, który każdej chwili mogę wrzucić do pieca i spalić. A przecież nie uczynię tego. bo...

Ale co to o tem mówić! czy ja wiem dlaczego nie chcę tego zrobić? czy ja wiem wreszcie co się ze mną dzieje w tej chwili, gdy pola i lasy dyszą życiem wiosennem i przez otwarte okno mego pokoju wpada ciepły, ożywczy prąd odradzającej się natury? Bo chociażbym nie wiem jak się zapierała, to jednak przyznać muszę, że list ten wywarł na mnie potężne, wszystko pochłaniające wrażenie. Kiedyś na pensyi pani Campane czytywałam potajemnie „Nową Heloizę" pana Rousseau'a (Boże! — ileż ja łez nad nią wylałam), a przecież zdaje mi się, że list Gwidona jest o wiele piękniejszy, namiętniejszy niż wszystkie listy kochanka, przez poetę wymarzonego. Ileż tam życia, ognia, namiętności, uczuć tkliwych! Nie, nie wątpię, że ten człowiek z ślicznemi czarnemi oczami, z brodą przepyszną, kocha mię gorąco, nie wątpię, że to co napisał o skarbach, jest prawdą. I słusznie zrobił, że je zabrał. Wszak ponure mnichy ich wcale nie potrzebują, bo o ile wiem, reguła nawet surowo im zakazuje starania się o dobra ziemskie i mamonę, jak mawiał abbé Constaumt na pensyi. Pan Jezus, którego oni są niby naśladowcami, żył w ubóstwie i pieszo chodził. Bardzo słusznie zrobił pan Tomasz, że im pieniądze zabrał, bo tym sposobem odebrał im możność zgorszenia, popełniania grzechu i przełamywania reguły. A przytem czyż on te pieniądze zebrane nieprawnie przez próżnujących mnichów, dla siebie zagarnął? Nie on je chciał użyć na dobro kraju i odda je księciu Józefowi.

O tak! jestem smutna, bardzo nawet smutna, ale zarazem dumna i szczęśliwa. Czyż przypuszczałam kiedy, czyż mogłam przypuszczać, że we mnie kochać się będzie dwóch najpiękniejszych, jacy są na świecie, mężczyzni? Wątpiłam, nie wierzyłam nigdy w moją diabolique beauté. jak mówi Hortence, a jednak, musi to być prawda. Ha! niech się co chce dzieje, ja przeciw przeznaczeniu nic zrobić nie mogę.

Dnia 4 maja 1908 r. Dziadunio, który ciągle jeździ, dla zasięgnięcia, jak mówi, języka, przywiózł wczoraj wiadomość, że nasze wojsko polskie z księciem Józefem na czele, stoczyło przed dwoma mniej więcej tygodniami zaciętą bitwę z cesarskimi pod Raszynem, że zginął tam jakiś pułkownik Godebski, że się nasi przeważnym siłom nieprzyjaciela pokonać nie dali, ale zmuszeni byli do ustąpienia „kajzerlikom" (tak śmiesznie dziadunio nazywa Austryaków) Warszawy. Książę Józef cofnął się za Wisłę i co będzie dalej, niewiadomo. Dziadunio jest ogromnie rozgorączkowany, wygaduje niestosowne rzeczy na Austryaków i zapewnia, że Cesarz Napoleon zada im „fernepiksu". Co to znaczy, nie wiem, ale musi być coś okropnego, bo dziadunio wymawia te wyrazy z naciskiem, zgrzytając zębami.

Pozatem niema żadnej wiadomości. Co do mnie uspokoiłam się znacznie, przestały mię wraz ze zniknięciem ponurej zimy, trapić różne przywidzenia. Nie myślę już o tragicznych losach mej praprababki, oglądam spokojnie i bez trwogi jej dziwaczny portret, zwany „cieniem", nie drżę na myśl błąkającego się jej widma po kurytarzach zamkowych. O kawalerze Dolabelli i panu Tomaszu Gaworowskim nic nie wiem, od Hortence, zapewne z powodu wojny, nie odbieram żadnych listów, i koło mnie jest cicho i spokojnie. Czasem ogarnia mię bojaźń jakaś przed jutrem i mówię sobie, że jest to cisza przed burzą. Ale z drugiej strony wiem, że przeciw przeznaczeniu nic nie poradzę, że co napisano w górze, jak powiada stara Gruszkowska, to spełnić się musi.

Do mego wewnętrznego uspokojenia, do rozproszenia posępnych mar, które mię dręczyły, przyczyniła się zapewne prześliczna wiosna, jasne słońce, życie kipiące wszędzie bujnie. Z okien moich apartamentów widzę lasy zieleniejące, wesołe, oblane blaskami gwiazdy dziennej. Ciepło jest, rozkosznie, świeżo! Ponieważ Gwidona już niema w tych stronach, więc nie tylko całe dnie, ale i część nocy spędzam w parku. Dnie są przepyszne, ale noce mają niewysłowiony dla mnie urok. Są one jasne, księżycowe, woniejące zapachem bzów, róż i fiołków rozśpiewane trelami słowików. Cały park pokrył się zielenią i ogromne, odwieczne graby i brzosty puściły mnóstwo liści, młodzieńczą żywością barw błyszczących, a wśród nich niezliczona ilość ptactwa wesoło świergocze. Aleja niegdyś strzyżona na wzór ogrodów wersalskich, dziś nieco zaniedbana, tu i owdzie wystrzelająca niesfornemi gałęziami, robi jednak wrażenie wielkopańskie i dziwaczny tworzy kontrast z feudalną, średniowieczną strukturą zamku. Lubię po niej chodzić, bo jest szeroka i prowadzi do stawu, a przytem posiada kilka posągów z piaskowca ciosanych, mocno zniszczonych, zieloną pleśnią pokrytych i w tem zaniedbaniu śmiesznie wyglądających w swych pozach pretensyonalnych i wykrygowanych. Nie bardzo wiem, kogo i co one przedstawiają, bo nie lubiłam uczyć się mitologii; poznaję tylko boginię Wenerę bezwstydnie zakrywającą rękami swe wdzięki, grubą i tłustą, zabrudzoną, z obtłuczonym nosem, a na jej dużych nagich piersiach, jaskółki gniazdo sobie ulepiły; owdzie sterczy jakiś potwór niezgrabny, pół kobiety, pół węża, coś niby na Syrenę wyglądający, cały zielonemi smugami poplamiony, z napisem na piedestale „Echidna". Nie słyszałam nigdy o takiej Echidnie. Nad stawem znowu pół leży naga kobieta, którą łabędź łaskotliwie obejmuje skrzydłami i dziobem w usta całuje. Napis głosi, że to jest Leda, o której to i owo wiem, ale tu nie napiszę... Jest tu i nagi posąg Apolina, ale tak nagi z takim realizmem odtworzony, że nawet figowego liścia mu rzeźbiarz nie dorobił. Nie rozumiem, po co takie bezwstydne figury popostawiano w tym parku. A ja błądzę wśród tych posągów, wśród zieleni, wdycham w siebie, upajam się wonią roślinności, całe dnie nad stawem na kamiennej ławce przepędzam, marzę i czytam historyę kawalera Faublas... Co prawda, głowa mię zawsze po tem czytaniu boli...

Wieczorami, jeżeli dziadunia niema, co się teraz często przytrafia, przesiaduję na tarasie zamkowym z Zuzią, która widocznie pogniewała się o coś na pana Alfonsa Dziurkiewicza, bo nie biega do oficyny. Zwykle bierze ona gitarę i brzdąka na niej i nuci, dość miłym głosikiem, sentymentalną aryę o Laurze i Filonie, a te słowa:

„Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły
I coś tam klaszcze za borem.."

Dziwnie odpowiadają mojemu otoczeniu i usposobieniu. W ogóle mowiąc, jestem smutna, trochę się nudzę i pełna złowieszczych przeczuć. Mój Boże co mi jutro przyniesie?

Dnia 30 maja 1809. Wstałam dopiero z łóżka, w którem ciężko chora leżałam przez kilka dni, wskutek strasznego, wstrząsającego wrażenia i przestrachu, jakiego doznałam. Kilkutygodniowy spokój i cisza, brak wszelkich zdarzeń, zdawał mi się zapowiadać lepszą przyszłość, gdy nagle, niespodzie-

wanie pogoda mego usposobienia, została przerwaną i przypomniała mi, że wisi nademną okrutna dłoń przeznaczenia, fatalnie zadzierzgnięta przed półtorawiekiem przez moją praprababkę. Obrzydł mi ten zamek, te bory, te straszne portrety i straszniejsze wspomnienia krwi i śmierci Usiłowałam wymódz na dziaduniu, żeby mię zaraz ztąd wywiózł gdzie byle ztąd jak najdalej, bylem nie oddychała tutejszem powietrzem, nie miała przed oczami duszy krwawych zbrodni, jakie się niegdyś rozegrały w tem okropnem zamczysku.

Było to w dzień moich imienin, przed tygodniem. Dziadunio obdarzywszy mię rano prześlicznemi brylantowemi kolczykami, w staroświeckiej oprawie, klejnotem rodzinnym, jak mówił, ucałował mię i począł się tłumaczyć, że nie może całego dnia, tak uroczystego, ze mną przepędzić, bo musi jechać do Sandomierza, który nasi wojownicy pod wodzą generała Sokolnickiego zdobyli przed tygodniem. Nie oponowałam przeciw temu, bo wiedziałam jak go ta wojna interesuje, i zresztą przywykłam do jego ciągłej nieobecności w tych czasach. Pojechał więc i zostałam sama. Zuzia ofiarowała mi prześliczny bukiet kwiatów. wszyscy mi winszowali i życzyli szczęścia, nawet potwór Kociuba się zjawił i mruczał coś pod nosem życzę „pannie pułkownikównie fortony i w niebie korony“. Bardzo mię to wszystko bawiło, byłam wesoła, śmiałam się i żadnych złowieszczych przeczuć nie miałam. Dzień był piękny, ciepły nawet gorący, słoneczny i większą część poranku przepędziłam na tarssie zamkowym na świeżem powietrzu, gdzie pojedyńczo cała służba się zjawiała, całowała mię po rękach i nogach, życząc wszelakich szczęśliwości. Nawet, o! co za zaszczyt! stawił się przedemną pan Alfons Dziurkiewicz we własnej osobie, z czupryną à la Titus, obficie wysmarowaną pomadą topolową, ktorej mdły zapach o mało mię o omdlenie nie przyprawił. w krawacie seledynowej barwy w czerwone kwiatki, i złożył mi piękny bukiet z róż, jaśminu i fiołków, a jednocześnie rozwinął jakiś papier, różową wstążeczką przepasany, pełen złoconych kwiatków i aniołków, „laurkę“, jak go Zuzia nazwała, i począł czytać wiersze, skomponowne przez niego samego, jak zapewniał, na uroczysty dzień mych imienin. W wierszu tym, który odczytywał z emfazą, nazywa mię nie Julią, ale Lindorą i woła:

„Lindoro, obyś nieśmiertelną była,
Obyś zawsze była miła
Oby w tobie była siła
Byś szerca mężczyzn nie krwawiła“.

Musiałam wysłuchać tych wierszydeł z powagą, choć dusiłam się od śmiechu, patrząc na marną figurkę pana Alfonsa Dziurkiewicza, na jego fraczek nieco przyciasny i jasne spodenki kaźmirkowe, strój świąteczny, który na me imieniny na siebie przybrał, dając tem poznać, jak ten dzień jest dla niego uroczystym. Bawiła mię też Zuzia, która stała obok mego krzesła, zapatrzona w pana Alfonsa jak w cudowne jakie zjawisko, rumieniąc się co chwila, a gdy jej ideał z podziękę odszedł, rzekła:

— Prawda panienko, że „laurka“ jest piękna i wiersze śliczne?

Oczywiście nie zaprzeczyłam temu, a Zuzia poczęła unosić się nad nieposolitą głową i uczonością pana Alfonsa Dziurkiewicza, z którym widocznie już się pogodziła była, bo przez kilka wieczorów nie mogłam jej utrzymać przy sobie. Niewątpliwie Zuzi „s z e r c e pana Alfonsa zakrwawiła“

Tak przepędziłam wesoło i swobodnie dzień cały i zamierzałam część wieczoru przesiedzieć na tarasie, bo właśnie była pełnia i noc zapowiadała się być cudowną i bardzo poetycką. Ale o zmroku zaczęło się chmurzyć i zrobiła się w powietrzu taka cisza, że nawet listek żaden na drzewie nie drgnął, a świergoczące ptactwo ucichło. Widocznie zanosiło się na burzę i było tak parno, że pot mi z czoła spływał, choć siedziałam nieruchoma na krześle. Wszakże nie byłabym na tę zmianę zwróciła uwagi, nie miałam żadnych smutnych przeczuć, gdyby ich nie obudziła we mnie stara Gruszkowa. Przyszła ona do mnie na taras zadyszana, oblana potem, stękająca i przyniosła mi filiżankę kawy mrożonej w lodzie, żebym się nieco na to gorąco ochłodziła, przyczem spoglądając na niebo, rzekła:

— Będzie burza. Spodziewałam się tego. Gdzieżby na św. Julię w Zamkowej Woli nie było burzy! pewnie to złe tak hula.

I westchnąwszy dodała półszeptem, pół jękliwie:

— Panie Jezu daj, żeby dzień dzisiejszy przeszedł bez czego niepotrzebnego. Niech Najświętsza Panienka broni!

Zrazu nie zrozumiałem tych słów i tych westchnień i zapyłam co to znaczy.

— Nie wie to panienka? odrzekła Gruszkowska.

— Nie wiem o czem Gruszkowska mówi.

— Przecie dziś św. Julii.

— No, tak, więc cóż z tego?

— A to z tego, że zawdy w ten dzień ta pani, co ją zadusili...

— Wiem! wiem! zawołałam przerażona — ach! po co mi Gruszkowska to przypomniała?

— Jakże, nie miałam przypomnieć? przecie potrza dać na Mszę świętą za duszę tej biednej pani.



— Przecież dziś świętej Julii.

Mówiłam Kociubskiemu, żeby jechał na św. Krzyż i zamówił u Ojców Mszę św. bo sama już nie mogę, grzeszne cielsko mi cięży, ale gadaj ta z głupim chłopem, z przeproszeniem. Ja, peda, nie mogę nikaj odjechać z Zamkowej Woli, kiej jasnego pana niema, bo któżby domu pilnował? Niechże jaśnie panienka przykaże, żeby jutro świtaniem pojechał. Oj! oj! będzie burza, niech ręka Boska broni. Całą noc będę się modliła i chyba zamrę ze strachu.

Słowa te przeraziły mię tak mocno, że odrazu mimo parnego i dusznego powietrza, dreszcz mię przeszedł i o mało nie zemdlałam. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, gdzie się schronić, gdzie uciec przed widmem praprababki, które, przekonana byłam że mi się z pewnością ukaże tej nocy fatalnej i strasznej. W najwyższej trwodze zawołałam:

— Nie będę spała u siebie, przeniosę się do Gruszkowskiej. Nie chcę! nie chcę! niech Gruszkowska nie odchodzi odemnie! gdzie jest Zuzia?

— Pewnie ten latawiec siedzi w oficynie z tym fidrygantem pisarzem. Pójdę jej poszukać.

— Niech Gruszkowska nie odchodzi! idę z Gruszkowską!

Drżałam cała, przejęta śmiertelną obawą, chwyciłam Gruszkowską za rękę, nie chcąc pozostać tutaj na tarasie sama, co staruszkę wprawiło w przerażenie i wołała:

— O laboga! jakże mię panienka przestraszyła! W imie Ojca i Syna i Ducha Świętego, a słowo ciałem się stało i mieszkało między nami!

Okrzyk ten wzbudził we mnie jeszcze większą bojaźń i rozpaczliwie trzymałam się niemniej przerażonej klucznicy, a tymczasem mrok zapadał z niezwykłą szybkością. Wielkie, ponure, czarne chmury zakrywały niebo, wicher szalony się zerwał i z szmerem, świstem i głuchym jakimś jękiem szaleć począł między drzewami parku, łamiąc gałązie, zrywając liście, podnosząc ze ścieżek całe tumany kurzu i piasku, który wirując biegł i niebawem zakrył wszystko przed memi oczami. W dali dawał się słyszeć ponury jakiś pomruk i burza szła szybko, siły tajemnicze natury zbiegały się na umówioną schadzkę i świat zrobił się straszny i groźny.

Byłam na pół nieprzytomna, nie wiedziałam co robić, ciągle tylko trzymałam się rąk Gruszkowskiej.

— Uciekajmy panienko — zawołała ona — bo jeno patrzeć, jak deszcz lunie.

Prawie przemocą wciągnęła mię do owej wielkiej sali, w której dwukrotnie z dziaduniem oczekiwaliśmy na herszta Szydłę, i zajęła się starannie zamykaniem drzwi szklannych i zasuwaniem okiennic. Upadłam na pierwsze lepsze krzesło i z niewypowiedzianem uczuciem lęku, poczęłam się rozglądać dokoła. Sala pogrążona była w posępnym półmroku, tylko z jednego okna, wychodzącego na zachód, padał jakiś krwawy blask i kładł się wielką, podłużną plamą na dywan spłowiały, pokrywający środek komnaty. Po kątach popod meblami pełzały ponure ciemności, rozłaziły się leniwie, ogarniały wszystko i powoli znienacka gasić zaczęły ową krwistą plamę.

Po sali powiał jakiś chłód przejmujący, wilgotny, jakby dobywał się z grobowca zamkniętego, a Gruszkowska uporawszy się z drzwiami, szła ku mnie i nagle zatrzymała się nieruchoma i głosem zduszonym, z głębi gardła się dobywającym, zawołała:

— Rany Boskie!...

I na moje straszne przerażenie ujrzałam, gdzieś z kątów i z ciemności wysuwającą się marę, postać mej praprababki, z twarzą wyrazistą tak jak na portrecie mistrz Dolabella ją odmalował, tylko z oczami przymkniętemi, reszta figury tak samo jak na obrazie rozpływała się w mglistych jakichś, mętnych konturach. Mara ta posuwała się wolno, raczej płynęła, jak szła, na krótką chwilę zatrzymała się na owej zblakłej już mocno krwistej plamie, od okna padającej; zdawało mi się przytem, że twarzą widmo zwróciło się do mnie... ale pewno że mi się to zdawało, bo z głośnym krzykiem rzuciłam się tak w tył, żem padła na podłogę i już nie wiem, co się dalej działo...

Obudziłam się, a raczej ocknęłam z omdlenia, ze stanu zupełnej nieświadomości w mojej sypialni, na łóżku, obok którego siedziała poczciwa Gruszkowska. Zuzia się kręciła po pokoju, a z buduaru widziałam wyglądające ku mnie dwie dziewczyny służebne. Cały mój apartament był jasno oświetlony, gorzały wszystkie świece i lampy i widno było jak w dzień. Z zewnątrz dochodził szum wichru i dudnienie deszczu po dachu i okiennicach i głośny plusk wody spływającej z rynien, umieszczonych obok jednego z okien.

Ciąg dalszy nastąpi.

Echa zawieruchy bałkańskiej.

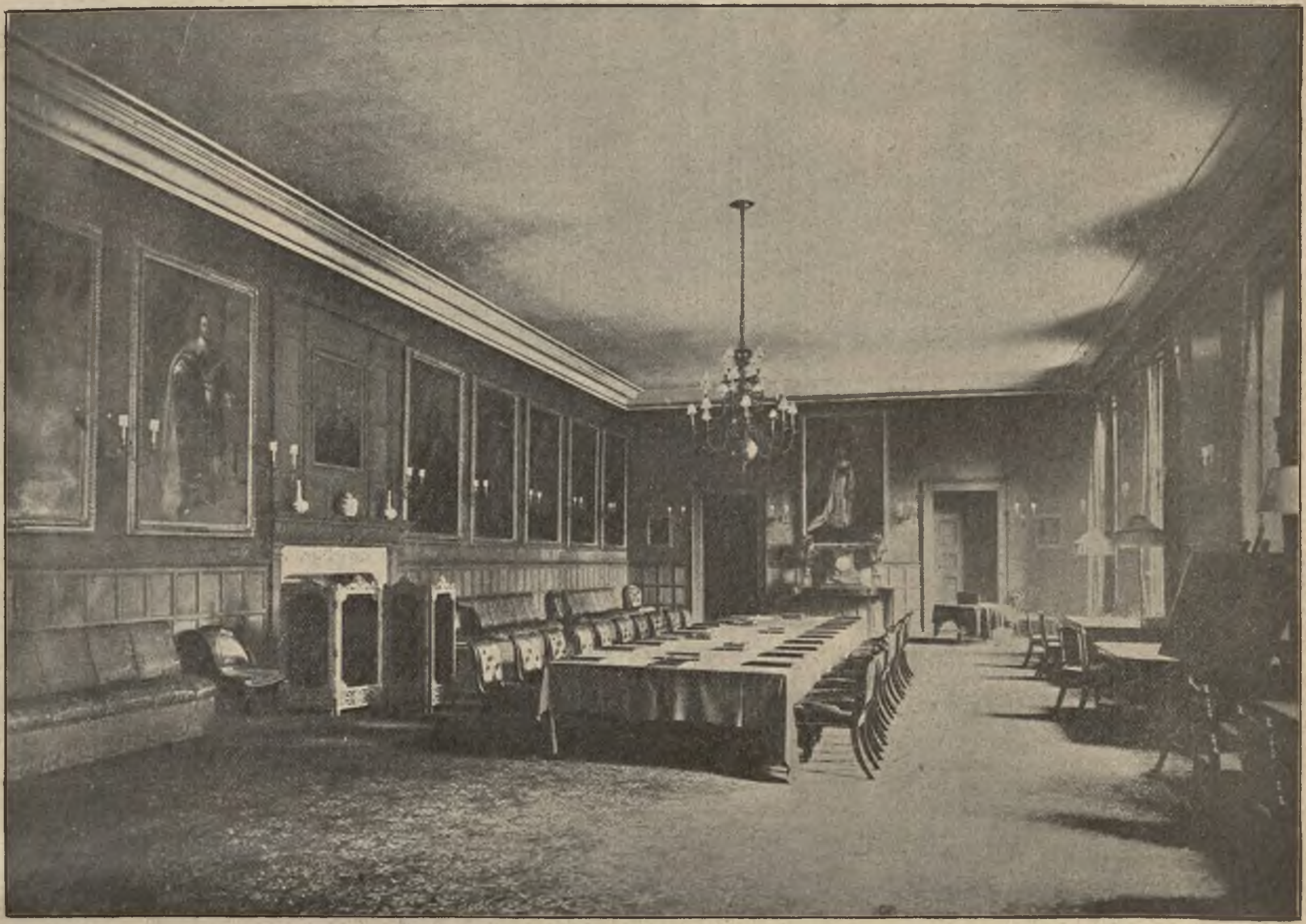
Mimo rokowań pokojowych walka na Bałkanach nie ustała. Grecya, która nie podpisała umowy o zawieszenie broni pod Czataldżą, prowadzi dalej operacye wojenne, których główna oś koncentruje się koło Janiny oraz w okolicach Dardanellów. Obecnie największe znaczenie mają operacye floty greckiej, która przed wjazdem do Dardanellów oczekuje wypłynięcia floty tureckiej, aby z nią podjąć bitwę morską. Siły obu stron są nierówne. Turcya posiada znacznie więcej okrętów dużego typu, natomiast stosunkowo mało torpedowców i kontrtorpedowców, podczas gdy Grecya wielkich okrętów ma nie wiele, natomiast rozporządza silną flotyllą torpedowców, a tem samem może łatwiej atakować i zdolna jest do szybszych operacyi.

Zresztą flota turecka nie może cała wystąpić do walki, część jej jest bowiem uwięziona na flankach linii obronnej tureckiej pod Czataldżą, gdzie musi stanowić asekuracyę wybrzeży.

Walka obu flot ma o tyle doniosłe znaczenie, że Grecya obecnie nie dopuszcza do przewozu materyałów wojennych z Azyi do Europy oraz blokuje wybrzeża morza Egejskiego. W razie zwycięstwa Turcyi, otwartą zostałaby droga do wysłania posiłków dla wojsk tureckich, walczących przeciw Grecyi w Albanii, a tem samem Grecy znaleźliby się w dosyć trudnem położeniu.

Konferencye pokojowe w Londynie doznały niespodziewanej przerwy. Zaraz przy sprawdzaniu pełnomocnictw po otwarciu konferencyi okazało się, że tureccy delegaci nie mają upoważnienia do rokowań z przedstawicielami Grecyi, wobec czego musiano wszelkie narady przerwać, aż z Konstantynopola nadejdą nowe pełnomocnictwa od rządu tureckiego.

Na ostateczny wynik rokowań pokojowych koła polityczne zapatrują się dość pesymistycznie. Turcya, która nie okazuje bynajmniej skłonności do ustępstw, chwyciła się zwykłej swej metody przewlekania, wobec czego bardzo się zmniejszyły widoki rychłego pokoju na Bałkanach.



Echa zawieruchy bałkańskiej: Sala w pałacu św. Jakóba w Londynie, w której odbywają się posiedzenia konferencyi pokojowej.

Znowu obstrukcya parlamentarna w Wiedniu.

W żadnym może parlamencie europejskim nie ma tak niespokojnych żywiołów, jak w parlamencie austryackim. Od szeregu lat pracuje on pod hasłem obstrukcyi, które podejmują coraz to inne niezadowolone partye. Regulamin obrad Izby poselskiej jest tak ułożony, że pozwala na wstrzymanie toku prac parlamentarnych nawet przez grupę kilku ludzi, którzy chcą udaremnić obrady. Obecnie sytuacya parlamentarna jest ciągle wzburzona z powodu sporów narodościowych, które bardzo silnie zaostrzyły się zarówno w Czechach, jak i w Galicyi. W Czechach rozporządzenia językowe i rozgraniczenie narodościowe Królestwa wymagane zarówno przez Niemców jak i przez Czechów wytworzyło taki stan napięcia, że ani sejm czeski nie może obradować, ani też w parlamencie oba narody nie chcą współpracować. W Galicyi znowu Rusini i Polacy nie mogą pogodzić się w sprawie reformy wyborczej oraz w sprawie kreowania ruskiego uniwersytetu.

Czescy radykali skorzystali obecnie z przymusowego położenia, w jakiem się parlament znalazł wobec wniesionych przez rząd ustaw wojskowych i postanowili nie dopuścić do ich uchwalenia, chcąc rząd skłonić do ustępstw na rzecz Czechów. Wobec niepewnej sytuacyi rząd postawił parlamentowi termin, do którego ustawy miały być załatwione, grożąc w przeciwnym razie odroczeniem parlamentu i rządami na podstawie § 14. O ile więc któraś partya chciała zaszachować zarówno rząd, jak i sam par-



Echa zawieruchy bałkańskiej: Sala przyjęć w pałacu św. Jakóba w Londynie, w której uczestnikom konferencyi pokojowej podają herbatę.



Znowu obstrukcya w parlamencie wiedeńskim: Prowizoryczne sypialnie w jednej z sal komisyjnych parlamentu wiedeńskiego.



Znowu obstrukcya w parlamencie wiedeńskim: Poseł czeski Fresl, który przemawiał 16 godzin.

lament, sposobność była doskonała. To też czescy radykali w całej pełni z niej skorzystali.

Obstrukcya trwała kilka dni. Została jednak ostatecznie złamaną w ten sposób, że parlament ogłosił obrady w permanencyi, a decydujące posiedzenie, które ostatecznie obstrukcyę udaremniło, trwało 56 godzin bez przerwy.

Mowcy czescy, którzy zapisali się do głosu w dyskusyi, przemawiali po kilka i kilkanaście godzin. Największe „laury" zebrał czeski radykał, poseł Fresl, wybrany przez Pilzno. Mówił on bez przerwy szesnaście godzin. Rozpoczął on swe przemówienie wieczorem o godz. 8, mówił przez całą noc, a skończył dopiero w południe dnia następnego. Posłowie większości podzielili się na partye, które przez dwie noce stróżowały w parlamencie, aby w każdej chwili był w Izbie odpowiedni do uchwał komplet. Na korytarzach i w salach klubowych urządzono na prędce sypialnie, na przenośnych łóżkach i kanapach. Posłowie spali, a tylko od czasu do czasu budziły ich elektryczne dzwonki prezydyum, wzywające do głosowań.

Ostatecznie obstrukcya została przełamana, ustawy przyjęto, a poseł Fresl zyskał tylko rekord najdłuższego przemówienia.

Pożar w Zakopanem.

Letnia stolica Polski była w tych dniach widownią groźnego pożaru. Z niezbadanej przyczyny wybuchł ogień w willi „Wzlot", którą ogarnęły płomienie z taką szybkością, że mieszkańcy tylko z trudem, w najprymitywniejszch strojach, zdołali uciec. Budynek i prawie wszystkie ruchomości stały się pastwą pożaru. Jedynie bardzo energicznym wysiłkom straży pożarnej należy zawdzięczać, że ogień odrazu zlokalizowano i pożar nie przybrał groźniejszych rozmiarów.

Należy też podnieść z uznaniem, że w akcyi ratunkowej bardzo dzielnie pomagała bawiąca w Zakopanem młodzież, wraz z grupą przybyłych właśnie do Zakopanego aktorów „Teatru artystycznego".

Illustracya nasza przedstawia płonący budynek willi.



Echa zawieruchy bałkańskiej: Uciekinierzy tureccy z Macedonii i Tracyi obozują pod murami Konstantynopola.

Placówka polska w Londynie.

Na gruncie londyńskim, dość tradycyjnie nie przychylnym dla życia polskiego, jaśnieje od szeregu lat postać czcigodnej kobiety, która stała się opiekunką naszych rodaków, która życie swoje poświęciła — można to powiedzieć bez obawy o frazes — sprawie narodowej. Osobą tą jest pani Zofia Pace, Polka, zaślubiona przed trzydziestu laty znanemu adwokatowi londyńskiemu i stale tam przebywająca. Z pochodzenia Wielkopolanka, zachowała pani Pace uczucie narodowe, nie to bierne i nie to choćby nawet poetyczne, lecz uczucie czynne, ofiarne i wytrwałe.

Wspomagana w swych usiłowaniach przez zacnego pana Pace, a po jego śmierci przez synów, którzy choć po mieczu anglicy, władają językiem polskim i mają duszę otwartą na historyę swojej matki ojczyzny, — pani Pace stała się dobrym aniołem trosk i potrzeb Polaków, rzuconych przez los nad Tamizę. Polaków w Londynie liczba dochodzi do kilku tysięcy. Przeważnie warstwa to rzemieślnicza, nie zawsze narodowo w należytym stopniu uświadomiona, a więc wydana na pastwę wynarodowienia, zwłaszcza w generacyi, zrodzonej już na ziemi angielskiej. Na tę też generacyę zwróciła uwagę czynna i mądra kobieta. Wraz z mężem swym wydzierżawiła obszerny dom na ulicy Old Ford, w dzielnicy robotniczej Londynu i dom ten stał się twierdzą polskości. Jest tu sala zebrań, jest biblioteka, jest wreszcie najcenniejsza instytucya: szkoła polska dla dziatwy niezamożnej. Kosztem państwa Pace utrzymywane są stale dwie siły nauczycielskie, tak, że sto z górą dzieci otrzymuje wykształcenie w języku rodzinnym. Nie jedno z nich w szkole tej dopiero się uczy mowy swoich rodziców. Nie jedno z tych dzieci pochodzi z rodziny tak ubogiej, że by mogło chodzić do szkółki, trzeba je obdarzyć ubraniem i obuwiem. I tu znów niestrudzona ofiarność pani Pace idzie w pomoc biedakom. Znajomi jej przyzwyczaili się już widzieć panią Pace na ulicach Londynu, obarczoną sprawunkami dla tych małych biedaków. A że bieda ludzka nigdy się nie kończy, więc i obowiązki serca zacnej filantropki też nie znają kresu. Piszący te słowa wie, że naraża się pani Pace, bo najwyższą jej radością jest tajemnica o dobrych jej czynach: od obcych dopiero trzeba zbierać te informacye, od osób trzecicich też, od nauczycieli z jej szkoły posiadamy wiadomość, że dzielna i godna najwyższego szacunku pani ta ma jednak żywą nagrodę w postępach i pilności dziatek. Kilkadziesiąt uczniów i uczenic uczęszcza stale do szkoły, z entuzyamem pochłaniając wiadomości o pełnych chwały dziejach Polski. W dnie uroczystości narodowych młodociana kolonia wraz z rodzicami zapełnia salę na Old Ford, słuchając odczytów, pieśni, przedstawień amatorskich, by tam na obczyźnie brać w siebie duszę oddalonej ojczyzny!

Nespełnioną dotąd troską pani Pace jest sprawa kościoła i parafii polskiej. Dom polski na Old Ford posiada w swej posesyi obszerny plac, na którym może stanąć obszerna nawet świątynia, ponadto staraniem państwa Pace zebrane już jest, z pozwolenia arcybiskupa Westminsteru — kilkanaście tysięcy funtów szterlingów. Pewne jedynie przeszkody, które niewątpliwie dadzą się załagodzić, nie pozwalają na razie zrealizować wzniosłego celu naszej szlachetnej filantropki. Być może, że najlepszą pomocą, która by i na złamanie owych przeszkód dodatnio wpłynąć mogła, byłoby większe zainteresowanie nasze, polskie, tutaj na miejscu. Cel kościoła, w którym by do Polaków w Londynie słowo Boże w polskiej mowie rozbrzmiewało, jest sprawą tak ważną, że ogół polski sprawę tę na siebie wziąć powinien. Byłoby to z naszej strony najgodniejszą odpłatą za tyloletni trud tej prawdziwej pomnożycielki polskości.



Pożar w Zakopanem: Płonąca willa „Wzlot".



Echa zawieruchy bałkańskiej: Grecki krążownik pancerny „Averoff", który został ciężko uszkodzony w walce pod Dardanellami.





Echa zawieruchy bałkańskiej:

Jeńcy tureccy w obozie wojsk greckich.

Grecki następca tronu (X) książę Konstanty rozmawia z jeńcami tureckimi w Monastyrze

Zjazd neurologów, psychiatrów i psychologów polskich w Krakowie.

Kraków — duchowa stolica Polski — jest miejscem, gdzie zbiegają się wszystkie nici polskiej myśli i polskiej nauki. Tu też odbywają się wszystkie ogólno-polskie zjazdy, których długi szereg obradował w roku bieżącym w prastarych murach grodu podwawelskiego. Ostatnim był II zjazd polskich neurologów, psychiatrów i psychologów, który zebrał się w Krakowie w przeddzień świąt Bożego Narodzenia, w liczbie około 100 uczestników, przybyłych ze wszystkich dzielnic Polski.

Z krakowskich osobistości na Zjazd między innymi przybyli rektor Uniw. Jagiell. dr. Zoll, wiceprezydent m. dr. Henryk Szarski, nadto profesorowie Wszechnicy Jagiell. pp. Wicherkiewicz, dr. Pareński, dr. Ciechanowski, dr. Nowak, dr. Cybulski.

Uroczyste otwarcie zjazdu odbyło się w wielkiej sali wykładowej kliniki chorób nerwowych, a obrady zagaił przewodniczący komitetu organizacyjnego, prof. Pilz. Następie dokonano wyboru prezydyum, w skład którego weszli jako prezesi pp.: dr. Ed. Flatau, dr. Franciszek Chłapowski, dr. Rafał Radziwiłłowicz, prof. Henryk Halban, dr. Goldflam, prof. dr. Twardowski, dr. Męczkowski, doc. dr. Orzechowski i p. Szycówna.

Na sekretarzy zostali wybrani pp.: Bornstein, Koelichen, Łapiński, Mikulski, Bandrowski, Rothfeld Jaroszyński i Jarkowski.

Z kolei nastąpiły przemówienia powitalne. Pierwszy zabrał głos wiceprezydent m. Krakowa dr. Szarski, życząc uczestnikom zjazdu owocnej pracy. W dalszym ciągu przemawiali: rektor dr. Zoll imieniem uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Flatau imieniem Tow. naukowego z Warszawy, dr. Fr. Chłapowski imieniem Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu, dr. Koelichen imieniem warszawskiego Stow. lekarzy, prof. Rubczyński imieniem krakowskiego Tow. filozoficznego, dr. Janiszewski imieniem krakowskiego Tow. lekarskiego.

Sekretarz dr. Borowiecki odczytał następnie cały szereg telegramów, nadesłanych z okazyi zjazdu ze wszystkich stron Polski.

Po tych uroczystych przemówieniach nastąpiły referaty i fachowe obrady zjazdu, którego plon zapisze się niewątpliwie trwałemi zgłoskami w kronikach polskiej nauki.



Polska placówka w Londynie: Szkoła polska w Londynie, utrzymywana przez p. Zofię Pace.



Polska placówka w Londynie: P. Zofia Pace, filantropka polska w Londynie.



Zjazd neurologów, psychiatrów i psychologów polskich w Krakowie: Uczestnicy Zjazdu podczas obrad.

Jerzy Ohnet.

Śmierć Bonapartemu!

16)

Na to stanowcze oświadczenie zaprotestował Fouché ruchem tak silnym, aż konsulowi głos się urwał. Bonaparte wpił uparcie wzrok w ministra, oczekując wytłómaczenia. Fouché milczał jednak, oczy spuścił, z wyraźnem pos anowieniem oględności w zwierzeniach. Pierwszy konsul zwrócił się wówczas do grona obecnych:

— A zatem, obywatele, spodziewam się, iż wygotujecie należne postanowienia. Oczekujcie mię na posiedzeniu Rady stanu. Nadejdę tam za chwilę.

Wyszli wówczas, a Bonaparte zbliżył się do Fouché'go, wciąż tajemniczo milczącego.

— Co znaczą wasze miny, ministrze?

— Chciałem w ten sposób powstrzymać generała od zdeklarowania zobowiązań, które nie dadzą się dotrzymać.

— A to dlaczego?

— Ponieważ rzeczywistość rozwieje wszystkie wasze przewidywania.

— Znacie sprawców zamachu?

— Znam głównego. I wspólników niebawem wykryjemy.

— Kto nim jest?

— Kawaler de Saint Régeant.

— Kolega Jerzego i Hyde de Neuville.

— Ten sam.

Bonapartemu stanął w myśli żywo ów młody, rzeźki, dumny Wandejczyk, z którym rozprawiał w Tuileryjskim salonie o przyszłości Francyi. Słyszał głos gorący, energiczny, przemawiający w obronie monarchii. Wspaniały zaiste żołnierz, którego byłby chętnie postawił na czele pułku, a w dniu bitwy wysłał w ataku na szańce, by obrócić na usługi Francyi ten zapał i dzielność. Taki to człowiek w interesie pewnego stronnictwa, okrutnie, a bezużytecznie śmierć siał dokoła siebie. Dokąd roznamiętnienie polityczne zawiodło jednostkę rozumną i dzielną: do takiego wybryku okrucieństwa i podłości!

— Macie go w rękach? — zapytał Bonaparte głosem strasznym.

— Jeszcze nie. Jest to kwestyą kilku godzin zaledwie. Będę go miał, nim zajdzie jutro. Wiem, gdzie go szukać, jak dostać.

— Lecz ukryte sprężyny? Tacy, jak Jerzy, jak Riviere, Polignac, no i książęta, którzy wydają bratobójcze rozkazy, tym nic nie będzie? Niechże się strzegą! Będę miał kiedyś tego dosyć i mogę puścić się nawet za granicę kraju, by dostać jednego z tych Burbonów, postawić przed sądem wojskowym i rozstrzelać natychmiast!

W gwałtownym przystępie gniewu wziął kapelusz ze stołu i rzucił go o ziemię z wściekłością. Przechadzając się ogromnymi krokami popchnął kapelusz nogą, aż w róg pokoju, jak gdyby tem ulżył swym poszarpanym nerwom. W tej chwili wszedł Bourienne z portfelem pierwszego konsula. Widząc kapelusz na ziemi, podniósł go, wyprostował i odezwał się do Bonapartego:

— Rada stanu zebrała się już i oczekuje generała.

— A zatem, obywatelu Fouché — odezwał się Bonaparte już uspokojony — weź się do dzieła, nie tracąc ani chwilki i donoś mi zaraz o wszystkiem, czego się dowiesz. Nic mię obecnie tak nie obchodzi, jak ta sprawa.

Wziął z biurka tabakierkę, odprawił Fouché'go i wyszedł z sekretarzem.

Pod Błękitnym Kołpakiem, po dobrem zaczęciu dnia pomyślnym transportem Saint Régeant'a na ulicę du Dragon, czas schodził na zajęciach codziennych, dla ludzi szarpanych niepokojem, zbyt banalnych. Lerebourg nie mógł się zdobyć na mówienie ze swą żoną o Wiktorze Leclerc. Samo wymówienie tego nazwiska wydało mu się niebezpiecznem, a dokoła niego, nawet wśród domowników, wytaniała się atmosfera pełna podejrzeń, jak gdyby spiskowiec wniósł pod gościnny dach woń prochu i krwi. Upatrywał nawet u klientów miny niezwykłe. Wszędzie wietrzył szpiegów. Zasiadł wprawdzie z żoną do obiadu o zwykłej porze, na codziennych miejscach, lecz żadne z nich jeść nie mogło, obawa ściskała im wprost żołądki. O drugiej Lerebourg wyszedł, nie dla załatwienia interesów, jak każdego dnia normalnego, lecz dla zasiągnięcia języka. Zaszedł do café Lamblin, gdzie spotkał kilku znajomych. Wszyscy oburzeni byli wypadkiem, zwłaszcza budziła grozę śmierć dzieweczki z suteryn.

— Pomyślcie tylko, jak dziko okrutny musiał być ten człowiek, skoro pozwolił zbliżyć się dziecku do konia, wiedząc, iż grozi mu rozszarpanie w kawałki! Ćwiertowałbym takiego zbója. Stojąc wobec tak potwornej zbrodni, musi się żałować, że minęły czasy tortur średniowiecznych.

Istotnie — słabość Saint-Régeant'a, który odwlekał chwilę wybuchu, by dać dziecku możność uciekać z życiem, uratowała Bonapartego. I ten właśnie Saint Régeant stał się przedmiotem powszechnej nienawiści. Lerebourg, któremu nie przebrzmiało w uszach biadanie Leclerca nad losem niewinnej ofiary, biadanie łez pełne, ze smutkiem słuchał, jak przyjaciele wzywali kary na mordercę.

— Słychać, że Bonaparte ma już dość ciągle powtarzających się spisków, przywróci represye na terorystów, którym nie dość krwi już przelanej, którzy jej wciąż spragnieni.

— Odzywają się inne głosy, jakoby szuani chcieli obalić rząd obecny, a przywrócić monarchię. Przeciągnęli na swą stronę pułki załogi paryskiej, które miały iść z nimi ręka w rękę.

— Istotnie, gdyby pierwszy konsul zginął...

— Któż ująłby wówczas ster rządu?

— W każdym razie nie Józef, brat jego.

— Raczej Lucyan, który przy ostatnim przewrocie dowiódł wielkiej energii.

— Lecz cóż znaczą wszyscy ci ludzie bez Bonaparta?

— Nic! Bez Bonaparta nie byłoby nic, krom — anarchii; wyjściem może być jedynie dyrektoryat, lub Burbonowie.

— A wówczas likwidacya rachunków z rojalistami?... Nie, raczej niech nam niebo zachowa Bonaparta! Bodajby go nazwali konsulem dożywotnim, byśmy spokojnie odetchnąć mogli nareszcie!

— Lecz kto wie, czy policya nie wpadła na jaki ślad, który mógł być wskazówką co do winowajców.

— Dubois rozesłał podobno na prowincyę najsprawniejszych agentów.

— A Fouché.

— Tego nikt nie przeniknie. Poróżnił się z pierwszym konsulem... Trzyma się na uboczu.

— Dowodzi to, że gotuje się do kroku doniosłego.

Wówczas, gdy Lerebourg dowiadywał się z niepomiernem strapieniem o gwałtownem oburzeniu ludu na sprawcę zamachu, żona jego rozgorączkowana, zamknęła się w swoim pokoju, by zdala od zaciekawionych spojrzeń dać folgę zgnębieniu i boleści. Leżała od godziny na sofie i zmuszała się do niemyślenia; wtem do drzwi zapukano delikatnie i weszła pokojówka:

— Jakiś pan przyszedł z interesem do pani...

— Niechaj się zwróci do panien sklepowych.

— On chce mówić z samą panią...

Emilia podniosła się nagle ożywiona:

— Któż jest ten obywatel?

— Człowiek młody, elegancki, bardzo grzeczny.

— Cóż robić! Wprowadź go do biura mego męża.

Poprawiła włosy, podpięła je wstążką i przeszła pełna trwogi do przyległego pokoju. Czekał tam sekretarz Villiers, spokojny i ugrzeczniony.

— Proszę, obywatelko, o przebaczenie, że nalegałem na widzenie z nią samą... Mam bowiem polecenie ministra Fouché prosić obywatelkę, by się doń pofatygowała...

— Do ministra policyi! — zawołała Emilia.

— Nie, obywatelko — sprostował miękko Villiers — nie do ministra policyi. Do obywatela Fouché... Nie przybyłem tu w charakterze urzędowym, lecz jako osoba czysto prywatna. Sprawa ta, o ile wiem, tyczy waszego przedsiębiorstwa... W każdym razie, obywatel Fouché sam wyjaśni.

— Czy mam się wybrać natychmiast?

— Proszę bardzo.

— Sama jestem w domu. Mąż wyszedł.

— Nie dalej, jak za godzinę, pani z pewnością wróci. Konie czekają przed domem.

— Czy mam udać się w towarzystwie pana?

— Tak będzie lepiej. Mogę wprowadzić panią bez meldowania się. Pójdzie to prędzej.

— Czy mogę napisać słówko do męża?

— Po co? Wróci pani zapewne przed nim.

— Obywatelu, mówcie otwarcie, że mię aresztujecie.

— Cóż znowu? Czyżby obywatelka poczuwała się do winy?

Emilia oprzytomniała, i zdała sobie sprawę, że sama gubi się niebacznemi słowy. Rozpacz ją ogarnęła. Twarz powlekła się trupią bladością. Piękne oczy utonęły w oczodołach i ściemniały.

— Przejdę po płaszcz i kapelusz.

— Pokojowa tu je przyniesie.

Nie śmiała sprzeciwiać się, zadzwoniła i zarządziła:

— Gdyby mąż wrócił przedemną, powiedz, że wyszłam na chwilę.

Zwróciła się do Villiers'a i zebrała siły na myśl o Saint Régeant'cie, którego należało ratować i o mężu, którego chciała oszczędzić, wreszcie o sobie samej i wyrzekła spokojnie:

— Chodźmy więc. Przechodzić przez sklep nie będziemy. Mamy schody wprost z mieszkania prywatnego.

Tymi samymi schodami schodził tegoż ranka Saint Régeant. Emilia zdała sobie sprawę, jak niewiele czasu potrzebował Fouché, by wyśledzić tajemnicę i niepokój jej wzmógł się jeszcze.

Istotnie, minister z każdą chwilą zdobywał nowe, niesłychanie ważne szczegóły. W pewnej winiarni obok rogatki Vaugirard usłyszał przebrany po cywilnemu agent, jak pewien ogrodnik mówił do towarzysza od kieliszka:

— Rozumie się, że wiem, skąd pochodził siwek i wózek na ulicy Saint-Nicaise.

— Ba!

— Naturalnie! O ile koń ten miał szparę w prawem przedniem kopycie i wrzód powyżej pęciny, to znam go dobrze.

Agent ten właśnie zbierał resztki wózka i konia i był obecny przy szczegółowych oględzinach. Przednie nogi konia nosiły niewątpliwie te szczególne znaki, o których była mowa. Zasłyszane słowa sprawiły, że u wyjścia z winiarni agent przytrzymał ogrodnika, wpakował natychmiast do dorożki i powiózł do ministeryum. Tam przyciśnięty do muru, nietylko moralnie, lecz i fizycznie, wyśpiewał nieborak wszystko, co wiedział. A były to rewelacye bardzo doniosłe. Niejaki Franciszek, odźwierny klasztoru żeńskiego przy ulicy Notre Dame des Champs, kupił u niejakiego Polıveau, wyplatacza krzeseł, stary wózek i kulawego konia za sto pięćdziesiąt liwrów pod warunkiem, że odbierze je, kiedy mu się spodoba. I rzeczywiście dnia wczorajszego rzeczony Franciszek objął w posiadanie nabyte rzeczy. Z tem zwierzył się imć Polıveau ogrodnikowi, niezmiernie rad, iż udało mu się pozbyć starego gratu i konia wywłoki, zwłaszcza, że świetnie na nich zarobił i mógł je zastąpić odpowiedniejszymi. Jeden z agentów udał się niezwłocznie do Vaugirard, by aresztować niefortunnego sprzedawcę; drugi zaś popędził do wspomnianego klasztoru, celem upewnienia się co do osoby owego odźwiernego Franciszka. Tak tedy od pierwszych kroków powodzenie sprzyjało usiłowaniom Fouché'go: ledwo wyciągnął rękę, straszliwą, groźną, wpadły w nią zasadnicze wiadomości, które mogły doprowadzić do rychłego wykrycia prawdy.

W chwili, gdy Villiers zamykał obywatelkę Lerebourg w swem biurze, by ją stawić przed szefem, ten przebiegał myślą kolejny bieg mających nastąpić zdarzeń i doznawał gorzkiego zadowolenia.

XIV.

— Proszę wejść, obywatelko — rzekł do Emilii młody Villiers, otwierając drzwi, łączące go z pokojem ministra. — Proszę nabrać nieco spokoju, wyglądasz pani istotnie na przestępcę, tak się trwożysz.

Pani Lerebourg podniosła ku sekretarzowi wzrok pytający. Był równie uśmiechnięty i uprzejmy, jak w drodze dorożką. Odzyskała trochę pewności. Skupiła myśli i weszła. Przed dużem, papierami pokrytem biurkiem, siedział Fouché, dumając nad rozłożonym stosem aktów. Nie patrząc, zapytał:

— Obywatelka Lerebourg?

— Tak, obywatelu ministrze — odpowiedział Villiers.

— Dobrze. Niech obywatelka siada. Za chwilę służę.

Villiers wyszedł. Emilia zasiadła w fotelu i ukradkiem przyglądała się strasznemu człowiekowi, od którego zależał los Saint-Régeant'a. Przerażała ją kanciasta głowa, zżółkłe oblicze, zgrzybiałe czoło a zwłaszcza oczy ponure, bez brwi i czernione. Myślała: twarz tego człowieka — to księga jego życia. Ta brzydota, jakby wołała krwi. Na całej ludzkości musiał szukać pomsty za swe fizyczne upośledzenie. Zło będzie siał dokoła, aż do ostatnie[illegible]nienia i w niem szukał zadowolenia. Chlubić się [illegible]krucieństwem. To potwór. — I w tejże chw[illegible]dniósł oczy, unikające spojrzenia w nie, i zapytał [illegible]okojem:

— Pan[illegible] jest pan de Saint-Régeant?

Emilia uczuła, że na to niesłychane pytanie twarz jej aż po uszy oblała się rumieńcem i zadrżała cała, oczy zabłysły, lecz odpowiedziała roztropnie, głosem nie wydając obawy:

— Ależ, obywatelu ministrze, nie rozumiem, o co chodzi.

— Mówię o panu de Saint-Régeant, który bywał u państwa pod nazwiskiem Wiktora Leclerc i jeździł w sprawach handlowych do sklepu waszego.

— Znam Wiktora Leclerc, który, to prawda, był niedawno w Lyonie, by załatwić zamówienia mego męża. Lecz pana de Saint Régeant nie znam.

Fouché uśmiechnął się nieznacznie i przyświadczył ruchem głowy.

— Pani Lerebourg, — Wiktor Leclerc i Saint-Régeant są jednym i tymsamym człowiekiem.

— Obywatelu ministrze, wierzę w to, ponieważ mi to mówicie, lecz nic o tem nie słyszałam.

— Dobrze, jesteśmy w porządku, zna pani tedy Wiktora Leclerc...

— Czyżby mię pan wezwał tutaj, by pytać o naszego komiwojażera? — zapytała Emilia, chcąc uciąć krótko pytania Fouché'go. — Wysłaniec pański mówił mi, że...

— Mój wysłaniec miał polecenie unikać wszelkiego skandalu, któryby pani mógł zaszkodzić. Zważ pani, że co do jej osoby zachowałem wszelkie możliwe ostrożności... Nadmieniam, że o ile pani zadość uczyni moim życzeniom, które mam prawo postawić, będę pani umiał najzupełniej dowieść mej wdzięczności... Chciałbym, byś dokładnie zrozumiała i oceniła sytuacyę, a temsamem nie narażała się na przykrości... Jednej tylko chcę wiadomości: gdzie przebywa w tej chwili Wiktor Leclerc, skoro pani zna jedynie Wiktora Leclerc. Proszę mi odpowiedzieć zadowalniająco, a nie będę miał już żadnych pretensyi, zawezwę mego sekretarza, by podał pani ramię, a za kwadrans będzie pani w domu. Dodaję nadto, że w dalszych, możliwych wydarzeniach nie będzie nigdy mowy o interwencyi ze strony pani. Nie będziemy się wcale znali, jak gdyby pani nigdy tu nie było. To, co zaszło między nami, utonie w wiecznem zapomnieniu.

Mówił to wszystko głosem kompletnie równym, bez najlżejszego podniesienia intonacyi, bez nacisku, bez zamiaru wywołania lęku. Ten to spokój mieścił w sobie tyle mocy, że z pewnością wybuchem, krzykiem, byłby mniej przeraził Emilię. Doznała silnego zawodu, ledwie trzymała się na nogach, widząc przed sobą rozwartą przepaść niezmierną. Lecz czuwała nad sobą, dobywała siły, nie zdradziła się pomieszaniem, ni omdleniem. Nerwy trzymała na uwięzi i gotowała się do odparcia ataku.

— Nie posiadam żadnych danych do udzielenia żądanej informacyi. Nie rozumiem, jakiem prawem zwraca się pan do mnie. Jestem przeciętną kobietą, zajętą swym magazynem i niczem więcej; nie mam też obowiązku informowania policyi.

— Pragnie pani dowiedzieć się o stanie swej odpowiedzialności. Natychmiast pani odpowiem. Przedewszystkiem zakomunikować pani muszę, czem obciążony jest Wiktor Leclerc. Ciąży na nim zarzut, że usiłował z pomocą wspólników zabić wczoraj pierwszego konsula i użył w tym celu machiny piekielnej.

— On! To niema sensu! Człowiek tak zrównoważony, tak spokojny! O tak łagodnem usposobieniu, że nie umiałby bronić się przeciwko dziecku!

— Wiktor Leclerc jest może takim, jakim go pani przedstawia. Saint Régeant za to zabił dwadzieścia osób, zranił pięćdziesiąt i ten człowiek tak łagodny, któryby ręki na dziecko nie podniósł, rozszarpał w strzępy dziewczynkę, która w chwili wybuchu zbliżyła się do konia. Oto jak wygląda uosobienie dobroci! Nie bawmy się w ciuciubabkę. Wiktor Leclerc i Saint Régeant to jedno [illegible]y pod tem nazwiskiem, czy pod innem, jes[illegible] kochankiem.

— Panie — zaprotestowała Em[illegible]żeli sądzisz, że temi słowy wprawisz m[illegible]opotanie, bardzo się mylisz. Wiktor L[illegible] jest wspólnikiem handlowym mego męża i z tej racyi widziałam go kilka razy, lecz nie jest moim kochankiem.

— Po co tedy pani chodziła na ulicę du Dragon? — spytał Fouché z ironią. — Celem dostarczania mu zamówień ze strony męża odwiedzałaś Wiktora Leclerc w jego ukryciu?

Emilia zadrżała, widząc, jak mąż ten jest blizki prawdy. Tak jest! Znał dom na ulicy du Dragon, wiedział o jej odwiedzinach. Ręce mu tylko wyciągnąć, a dostanie nieszczęsną ofiarę. Widocznie zupełnej pewności nie miał, skoro pytał. Nie był tak pewny, jak udawał. Odpowiedziała:

— Byłam dwa razy u modystki, by kupić kapelusz i mogę go tu przynieść, jeżeli pan go tu chce widzieć.

— Wybornie. — Dowiaduję się, że Wiktor Leclerc jest u modystki. To rozjaśnia horyzont.

Pani Lerebourg żywym gestem zdradziła niezadowolenie. Z gniewem do ostateczności doprowadzonym spojrzała na Fouché'go.

— Nic nie powiem. Nie będzie pan mógł więcej fałszywie słów moich tłómaczyć.



Przeraziła ją kanciasta głowa i zżółkłe oblicze.

— A zatem, pani, ponieważ nie mam czasu do stracenia — przemówił Fouché zimno — każę panią odprowadzić do domu, a jednocześnie natomiast sprowadzę tu męża pani.

Emilia skoczyła niemal z pogróżką:

— Pan ośmieliłby się?

— Tak, ja śmiem zawsze. Sądzę, że obywatel Lerebourg zachowa się rozsądniej... Skoro pozna, że może być posądzony o udział w tak potwornym czynie, patryotyzm jego niewątpliwie żywo zaprotestuje i nie odmówi wszelkich możliwych informacyi. Zastanawiam się, co pomyśli o podwójnej osobie Wiktora Leclerc — Saint Régeant'a, a niemało zadziwi go wiadomość, że pani bywała na ulicy du Dragon. Od tego, do powzięcia bolesnego podejrzenia już bardzo blizko.

— Ach! to podłość! — zawołała Emilia, wytrącona z równowagi.

Na to Fouché podniósł się, podszedłszy do pani Lerebourg, wpatrzył się w nią zaczerwienionemi oczami bez błysku i palec wzniósł, jak do groźby:

— To się musi wreszcie skończyć! Próbowałem z panią łagodnej perswazyi, lecz bezskutecznie. Dość tego! Wiedz pani, że jeżeli do pięciu minut nie wydasz mi Saint-Régeant'a, znajdziesz się dziś u Magdalenek i męża każę aresztować. Nie dam dłużej igrać z sobą.

— Nie wiem nic!

— Kłamiesz pani, wiesz wszystko i musisz mi powiedzieć, nędznico, słyszysz, albo się dostaniesz na szafot, wydam cię wraz z twymi domownikami, bez wahania i bez litości.

— I cóż? Możesz mię zabić, a nic nie powiem!

— Wobec tego posyłam po Lerebourga i dowiodę mu, że jesteś kochanką Leclerca. Zbudowany twą wiernością, będzie pohopniejszy do wygadania się — za to ja ręczę. Z radością wyda Leclerca, a w dodatku jego wspólników! Lecz pani go nie ocali! Zapóźno!

Zbliżył się do dzwonka i rękę do niego wyciągnął:

— Czy mam posłać po męża?

Oszalała z bólu zawołała Emilia:

— Nie!

— Czy pani zrobi, co należy?

— Jakto?

— Masz do wyboru między jednym a drugim. Albo mi dasz Saint-Régeant'a, albo sprowadzę twego męża i wyłożę wam obojgu całą sprawę.

— To potworne!

— Dobrze! Możesz mię lżyć. Nie jestem na to wrażliwy. Lecz tłómacz się jaśniej.

Ręce wykręcała, zdjęta straszliwą rozpaczą, łzy strumieniami spływały po twarzy.

— Płacz dobrze robi — rzekł Fouché! — Lecz minuta rozczulenia wystarczy. Gdzie Saint Régeant?

— Dlaczego mię pan pytasz, skoro wiesz?

— Przedziwne krętactwo niewieście! odpowiadasz, zadając pytanie. Jest zatem jeszcze na ulicy du Dragon. Uważał się tam za bezpiecznego. Dobrą musiał mieć kryjówkę. Jak się tam dostać.

— Masz swych szpiegów, żandarmów — siebie wreszcie! — wołała oburzona. — Szukajcie!

— Do licha! Nic łatwiejszego, jak dom przetrząsnąć zdemolować, kamienia nie pozostawić na kamieniu. Lecz uniknąć chcę pewnego użycia siły, rozgłosu i przemocy. Saint Régeant jest bezwątpienia uzbrojony. Ma pod ręką conajmniej parę pistoletów. Nie zaniecha użyć ich przeciwko władzy, przeciwko agentem, i o to mi nie chodzi, po to tam będą. Lecz niepożądanem byłoby skierowanie broni przeciwko sobie samemu. Na odgłos przebijania ściany, podważania podłogi może stracić głowę i palnąć sobie kulkę. Nam dostałyby się tylko zwłoki, a tego nie chcę.

Na zmienionej, przerażającej twarzy Emilii śledził wrażenie tych słów, starannie stopniowanych, celem udręczenia serca młodej kobiety. Śledził, jak drżała z obawy i słaniała się ze zgrozy na myśl o znalezieniu Saint-Régeant'a nieżywego w jego zakamarku na ulicy du Dragon.

Odczuł, że ma w swej mocy, że złamał i ujarzmił tę dzielną duszę. Skwapliwie wyzyskał jej przygnębienie:

— Gdyby pani była dla mnie sprawiedliwszą, powinnaby dziękować mi za tyle względów dla takiego zbrodniarza.

— Jedynie we własnym, nie w jego interesie — wołała. — Kacie! o jedno ci teraz chodzi, by ci się nie wymknął. Niestety, jedna śmierć mogłaby go od ciebie uwolnić, skoro posiadasz jego tajemnicę. Niebo niech mi będzie świadkiem, że własne życie dałabym raczej, niż jego. Kto był tym podłym zdrajcą, donoszącym ci o wszystkiem?

— Pewien człowiek, który życiem przypłacił poczucie obowiązku; to, w moich oczach bohater.

— Jeden z twych agentów?

— Tak; zabity przez Saint Régeanta, lecz przy skonaniu był jeszcze w stanie mówić.

— O, czułam doskonale dokoła nas gmatwającą się, nieubłaganą sieć policyi. Każde nasze poruszenie zacieśniało jej sploty. Aż wpadliśmy w sidła. Jak straszno! Jaka hańba. Być pastwą ciekawości i nienawiści pospólstwa! I ponosić taką karę bez winy! Śmierć stokroć milsza!

Ciąg dalszy nastąpi.

Pogrzeb wschodniego patryarchy.

Na czele wschodnio greckiego Kościoła stoi patryarcha, który ma swoją rezydencyę w Konstantynopolu. Władza jego rozciąga się na cały prawie półwysep Bałkański i jest bardzo wielka. Ostatnim patryarchą greckim był Joachim III. Przed kilkunastu dniami zmarł sędziwy starzec, a cały Kościół zachodni obchodził śmierć jego wielką żałobą. Był on osobistością bardzo poważaną i szanowaną nie tylko przez swoich wiernych, ale także przez władze polityczne zarówno tureckie, jak i obcych mocarstw. Dzięki bowiem wielkiemu swemu wpływowi, potrafił nieraz skutecznie pośredniczyć w sprawach zarówno politycznych jak i społecznych na Bałkanie.



Nowy regent bawarski: Cztery pokolenia bawarskiej rodziny królewskiej: Obecny następca tronu, przyszły następca tronu, zmarły ks. Luitpold i obecny regent ks. Ludwik.

Pogrzeb patryarchy odbył się uroczyście w Konstantynopolu, z całym przepychem wschodniego Kościoła. Według przyjętego zwyczaju zwłoki patryarchy umieszczone zostały na złotym tronie w pozycyi siedzącej. Przybrano je w pontyfikalne szaty oraz we wszelkie odznaki patryarszej władzy. W uroczystej procesyi zaniesiono następnie zwłoki przy udziale ogromnej ilości księży i wiernych do kościoła greckiego, gdzie złożono je w podziemiach katedry.

Na znak szacunku przedstawiciele obcych mocarstw wysłali reprezentacyjne oddziały marynarzy na pogrzeb i złożyli imieniem swych rządów kondolencye.

Illustracye nasze przedstawiają zwłoki zmarłego patryarchy, wystawione na widok publiczny w pałacu jego oraz kondukt pogrzebowy.



Pogrzeb wschodniego patryarchy: Oddawanie hołdu zwłokom zmarłego patryarchy, umieszczonym w pozycyi siedzącej na tronie.



Pogrzeb wschodniego patryarchy: Pogrzeb zmarłego patryarchy greckiego Joachima III. w Konstantynopolu.

Kronika tygodniowa.

Już w poprzedniej kronice zaznaczyłem w kilku słowach, że rok 1912., kończąc swój doczesny żywot, pozostawia po sobie bardzo przykre wspomnienie, dziś podejmuję ten sam temat, choć bynajmniej nie mam zamiaru kreślić dokładnie jego dziejów.

Zostawiam to komu innemu, jakiemuś n. p. historykowi, który na tle tegorocznych wydarzeń politycznych mógłby z łatwością osnuć, jeśli nie poważną rozprawę, to przynajmniej bodaj nastrojową nowelkę lub muzyczny dramat, w którym „nieboszczyk“ włazi na Himalaje i tam znosi jaje... jak powiada pewien utalentowany poeta, broń Boże jednak nie ks. Baka.

Owem jajem to właśnie wojna Unii bałkańskiej z Turcyą, miejscem zaś, gdzie je zniesiono, niestety, nie Himalaje, ale Bałkan.

Obecnie znajduje się ono w stanie wylęgania, a wysiadują je w Londynie członkowie komisyi pokojowej i ambasadorowie, biorący udział w „reunionie“, który ma rozstrzygnąć, co się stanie z Turcyą.

Nie przesądzajmy wypadków, konferencye powinny się skończyć za kilka dni, kto wie, czy nawet nie przed świętami, a epilog powinien być tego rodzaju, że Bułgarya i jej sprzymierzeńcy dostaną po kawałku tureckiego terytoryum z ojcowską jednak admonicyą, aby na przyszłość dali spokój Europie i nie narażali jej na kłopoty.

W to, aby owe rokowania miały się zakończyć wojną, nie wierzę, chybaby się członkowie Unii pobrali za łby, dzieląc się tureckim spadkiem.

Ale i na to nie zgodzi się Europa, która na rok 1913. pragnęłaby spokoju, by módz odetchnąć po tych tarapatach, jakie przeszła.

Miejmy nadzieję, że anioł pokoju, z różdżką oliwną w dłoni, pokona Marsa, który w roku 1912. tak butnie potrząsał mieczykiem i dzwonił ostrogami.

Powiadają wprawdzie astrologowie, że rok 1913. będzie feralnym, ponieważ ma w ogonie trzynastkę, ja jednak wychodzę z tej zasady, że pechowniejszym był poprzednik, gdyż suma poprzeczna jego cyfr wynosiła akurat trzynaście, podczas, gdy u owego trzynastego, równa się czternastce.

Ponieważ zaś czternastka, według zasad nieboszczyka Archimedesa, składa się z dwu siódemek, a siódemka jest ulubioną cyfrą wybranego narodu, który ongiś Mojżesz na utrapienie świata przeprowadził przez morze Czerwone — miejmy nadzieję, że Fortuna bodaj w tym roku zwróci się ku nam przodem i w nagrodę, żeśmy w r. 1912. cierpliwie znosili różne dolegliwości i zmartwienia, w r. 1913. wysypie na nas całą masę podarków z swego rogu obfitości.

Aby to jednak nie były aeroplany, dreadnoughty, karabiny maszynowe lub inne wojenne przyrządy, które tylko niepotrzebnie obciążają budżety wszystkich państw, tak zwanych kulturalnych, a broń Panie Boże, także i nie nowe podatki, jakimi w zastępstwie pani Fortuny chciałby nas pan minister skarbu uszczęśliwić!

Mężczyźni obawiają się najbardziej podatku starokawalerskiego, stare panny cieszą się natomiast z niego i za tę cenę gotowe są nawet zgodzić się na zniesienie loteryi liczbowej, zapowiedziane przez Jego Excellencyę.

W razie, jeśliby Rządowi udało się przeforsować nową ustawę, popyt na rynku małżeńskim wzmógłby się ogromnie, zwłaszcza, że karnawał tegoroczny będzie bardzo krótki, kto więc zechce nałożyć na się słodkie więzy hymenu... (to wyrażenie wynalazł stanowczo kawaler, nie żonaty!...), musi się spieszyć, gdyż Popielec za pasem!

Wątpię jednak, czy panu Zaleskiemu uda się ten figiel, przygotywuje się bowiem obstrukcya, nie przebierająca w środkach i daleko sroższa, niż obecna, zapowiedziana przez Czechów, Słowieńców i galicyjskich Tyrolczyków, którzy jednem okiem patrzą na Zachód, drugie kierują ku Wschodowi.

Polityczni okuliści na konsylium, które odbyło się u hr. Stürgkha i Hussarka, orzekli, że na to obstrukcyjne zezowanie jest tylko jedna rada, mianowicie radykalna operacya czyraka uniwersyteckiego, której miałby dokonać prymaryusz dr Bobrzyński, choć on jest specyalistą od prawa, a nie chirurgii. Asystować mają mu Leo, Stapiński i Głąbiński, każdy jednak podaje inną metodę operowania, wobec czego do zgody dojść nie może.

Wracajmy jednak do owej starokawalerskiej obstrukcyi, na którą żaden Hunyady nie pomoże! Przeciw propozycyi głosować będą wszyscy kawalerowie i ojcowie bezdzietni, także część tych, którzy wydali już za mąż córki, a mają synów kawalerów, wobec czego nie wątpię, że Rząd nie znajdzie stanowczo większości, a co za tem idzie, pan minister skarbu będzie zmuszonym podać się do dymisyi. Będzie ona naturalnie przyjętą, na portfel po nim czeka bowiem sporo kandydatów. W samem Kole Polskiem jest ich trzydziestu ośmiu, a każdy jest pewnym, że przy biurku, przy którem pracował ongiś ś. p. Juliusz Dunajewski i im przyjdą zbawienne pomysły, jak ratować c. k. zagrożone finanse ojczyste.

Radzę więc panu ministrowi, by dał spokój tym niebezpiecznym eksperymentom, które tylko dla niego mogą się skończyć fatalnie, zwłaszcza, że po tak chudym roku, jakim był rok 1912, nawet najbardziej energiczny c. k. sekwestrator podatkowy z biednego starego kawalera ani centusia nie wygniecie!

Co się mnie tyczy, powinienbym właściwie gardłować za wprowadzeniem onego podatku, gdyż może udałoby się wypchać w świat trzy pociechy, które, jako one niepodlewane kwiatuszki, więdną w czterech ścianach swego panieńskiego pokoiku, z jednej jednak strony działałem zawsze w imię słuszności i stawałem w obronie uciśnionych, z drugiej zaś wiem, że i kawalerski podatek na nic im się nie zda, przekroczyły bowiem dawno staropanieński Rubikon, a nie posiadają posagu.

Takiej panny zaś żaden młodzieniec, nawet pod grozą starokawalerskiego podatku nie weźmie z domu rodzicielskiego!

Dzięki temu, prawdziwie męskiemu wystąpieniu w tej tak zasadniczej sprawie, imię me aczkolwiek skromnie ukryte, jak fijołek w trawie, powinno zasłynąć w całym świecie, gdziekolwiek żyją kawalerowie, którzy też, widząc we mnie swego orędownika, gotowi może nawet pomyśleć o jakimś skromnym dla mnie pomniczku.

Z góry jednak wypraszam się od tego zaszczytu, wiem bowiem, jakie każda pomnikowa historya musi przechodzić w Krakowie koleje...

Chyba, że obiorą inne miejsce, nie Kraków, tu bowiem byłoby ciężko, gdyż nie posiadam świadectwa prawomyślności politycznej, wystawionego przez zarząd krakowskiej partyi demokratycznej, która wyraźnie oświadczyła, że nad Wisłą jest miejsce na pomniki tylko dla c. k. demokratów.

Zachodzi też i inna jeszcze okoliczność, dla której nie życzyłbym sobie tego rodzaju uczczenia.

Od pewnego czasu przyzwyczailiśmy się wołać głośno i pisać: Popierajmy przemysł krajowy!... a kupujemy z przyjemnością wszystko, co nam daje zagranica, tam zaopatrujemy się w to, co u nas jest tańsze i lepsze, ale nie posiada owych kabalistycznych znaków: D. R. P. albo D. R. G. M. *(Deutsches Reichs Patent* albo *Deutsche Reichs-Gesetz Marke).*

Kto na miejscu u swoich pokrywa swe zapotrzebowania ten traci prowincyą!

Otóż, obawiam się, że ów pomnik w całości lub choćby tylko w części byłby sporządzonym poza granicami kraju, co dałoby znów powód do zupełnie słusznej polemiki, a skończyło na tem, że otrzymałbym straż honorową w postaci co najmniej dwu stróżów bezpieczeństwa, którzy dniem i nocą musieliby mnie mieć na pieczy.

Ani nie przypuszczałem, że tak błahy temat, jak podatek starokawalerski, którego zresztą dotąd jeszcze niema, potrafi mnie zawieść tak daleko i opamiętałem się dopiero, gdym wziął w rękę egzemplarz *Illustrowanego Kuryera*, bez którego nigdy spać się nie kładę.

Wyczytałem tam coś, co mnie tak przestraszyło, że reszta włosów, którymi misternie zakrywam część łysiny... (tak zwana: pożyczka z kraju...) wypowiedziała odrazu posłuszeństwo i stanęła dęba...

Już pani de Thèbes wspominała półgębkiem o trzęsieniach ziemi, które w r. 1913 mają nawiedzić Europę teraz znowu profesor uniwersytetu w Filadelfii, jakiś pan Albert Nobless, zapewnia jak najsolenniej, że za lat sześćdziesiąt pięć Europy nie będzie! Zniknie ona zupełnie z mapy kuli ziemskiej, a przyczyną będzie wybuch wulkaniczny...

Według jego twierdzenia kora ziemska w tej części, na której leży Europa, jest podminowana galeryami, zapełnionemi gazami wulkanicznymi, które tylko czekają sposobności by się wydobyć na zewnątrz. Jednem słowem Europa cierpi na wiatry...

Czego te wybuchy nie zniszczą, tego dokona ocean, który pewnego pięknego poranku pochłonie Europę, a zacznie od butów, to jest od Włoch, wiadomo bowiem, że taki kształt ma ten półwysep.

Ale i na tem jeszcze nie koniec!

Przewroty wulkaniczne zmienią kierunek gorącego prądu oceanu (tak zwanego Golfstromu) i przybliżą go ku wybrzeżom Ameryki, co będzie miało taki skutek, że resztki biednej Europy, zapadłej już w ocean, to jest najwyższe jej punkty, pozbawione ciepła, pokryje warstwa lodowa!...

Dzięki Bogu przynajmniej, że ma to nastąpić dopiero za lat sześćdziesiąt, kiedy już niejeden z nas będzie spoczywał spokojnie na cmentarzu rakowickim. Doczekają tej miłej perspektywy chyba nasze dzieci, albo może i wnuki!

Jeśli pan Nobless się nie myli, sądziłbym, że już zawczasu należałoby pomyśleć o środkach zaradczych, aby potem nie mieć powodu do narzekania, że „mądry Polak po szkodzie“.,.

W pierwszej zaś linii powinna c. k. Rada Szkolna krajowa „wysadzić“ ze swego łona ankietę, któraby opracowała nową mapę kuli ziemskiej z uwzględnieniem zatopionej już Europy i ewentualnych zmian terytoryalnych na półwyspie bałkańskim, zdałoby się też gromadzić zapasy węgli i innych materyałów opałowych, oraz przygotować odpowiedni statek, na którym nasi następcy mogliby szczęśliwie wyemigrować do Ameryki, gdyż ona będzie wówczas ową ziemią obiecaną, gdzie cetnar metryczny węgla, kosztować będzie dwa halerze, a i tak nikt go nie kupi, gdyż łatwo obejdzie się bez niego...

Wiadomość o wywodach pana Noblessa podziałała i na członków austryackiego parlamentu, którzy wobec tego postanowili zaniechać obstrukcyi i na delegatów, biorących udział w konferencyi i reunionie londyńskim, bo i pocóż kłopotać sobie niepotrzebnie głowę jakiemiś politycznemi błahostkami, skoro tak, czy owak, czeka nas koniec świata!

Ale dopiero, licząc od dziś, za lat sześćdziesiąt i pięć!

Tymczasem więc używajmy życia, a rok 1913 niech będzie pierwszym z tej kopy lat tłustych i wesołych, które nam jeszcze na tym padole europejskim pozostają.

Tego dziś życzy

Kronikarz.

WIELKA SZARADA DO NAGRODY!

34 nagród w książkach! 34 nagród w książkach!

Ze względu na kolosalne zainteresowanie, jakie zawsze budziły nasze wielkie szarady, wyposażone wspaniałemi nagrodami i w tym roku dajemy Szanownym Czytelnikom „Nowości Illustrowanych“ dziesięć liter, zapomocą których można utworzyć pięćdziesiąt rozmaitych wyrazów. Jeśli litery te oznaczymy liczbami 1 do 10 i jak poniżej zestawiać będziemy, otrzymamy rozmaite wyrazy, których znaczenie podajemy:

1, 2, 3, 4, 5, 6, 7. 8, 9, 10.

Czytane w tym porządku podadzą nazwę najsłynniejszego lekarza starożytnych czasów.

1) 7, 6 miara
2) 1, 4, 3 wykrzyknik
3) 9, 6, 7 okres czasu
4) 7, 6. 7 rodzaj papugi
5) 7, 5, 6 miara angielska
6) 3, 7, 10 część ubioru
7) 6, 4, 5 okres czasu
8) 2, 8, 4 słynny Japończyk
9) 3. 7, 6. 7 znany gaz
10) 8, 7, 6. 7 waga opakowania
11) 6, 4. 3, 7 produkt mineralny
12) 1. 9, 6, 7 bogini grecka
13) 7, 6, 5. 7 najstarszy okręt
14) 4. 6, 5, 7 zajęcie rolnika
15) 10. 8, 9. 6 część okrętu
16) 8. 4. 6, 8 wyrób cukierniczy
17) 2, 5, 6, 7 jaja niższych zwierząt
18) 4, 1, 2. 4 stan w Ameryce północnej
19) 5, 4, 5, 2 drobnoustroje
20) 2. 3, 9, 5 pieniądz annamski
21) 8. 7, 6, 4, 5 znana gra w karty
22) 1, 7, 2, 8, 2 wyspa z Wielkich Antyllów
23) 8, 7, 3, 2, 6 zwierzę egzotyczne
24) 1, 2, 3, 5, 4 zdrobniałe imię męskie
25) 10, 4, 8, 9, 6 imię męskie
26) 1, 9, 6, 4, 10 inaczej bohater
27) 3, 2, 4, 8, 6 imię męskie
28) 9, 6, 7, 8, 4 jedna z Muz
29) 10, 8, 4, 3, 7 część ciała ludzkiego
30) 8, 6, 4, 5, 2 miejscowość na Litwie
31) 3, 7, 10, 9, 5 pamiętnikarz polski
32) 5, 7, 5, 7, 4 znany produkt spożywczy
33) 10, , 8, 9, 6 rodzaj psa
34) 1, 2, 9, 6, 4 tyran Syrakuz
35) 3, 4, 8, 7, 10 pierwiastek
36) 6, 9, 8, 4. 6 inaczej mówca
37) 3, 6, 4, 5, 4, 3 imię męskie
38) 10, 8, 7, 6, 5, 7 rodzaj wódki
39) 6, 7, 3, 4, 6, 8 inaczej sprawozdanie
40) 10, 9, 5, 6, 9, 8 tajemnica
41) 1, 9, 5, 8, 4, 6 bohater z czasów wojny trojańskiej
42) 8. 9, 6, 9, 10, 7 imię żeńskie
43) 4, 3, 4, 6, 8, 4 miasto w Portugalii
44) 2, 8, 1, 7, 5, 7 jedna z wysp jońskich
45) 3. 2, 6, 7, 8, 7 rozbójnik
46) 3. 4, 5, 6, 7, 5, 7 inaczej kaleka, niedołęga
47) 1, 2, 5, 10, 4, 10. 2 dynastya królów egipskich
48) 8, 1, 9, 10, 3, 2, 10 twórca tragedyi
49) 4, 8, 8, 4, 5, 7, 6 imię męskie
50) 10, 4. 5. 6, 7. 8, 9, 10 filozof grecki.

Czytelnicy, ubiegający się o powyższe nagrody, muszą się zastosować do następujących warunków:

1) Rozwiązanie Szarady powinno być nadesłane w dostatecznie opłaconym liście, z napisem na kopercie u góry: **Rozwiązanie Szarady konkursowej,** najpóźniej do dnia 23 lutego 1913 pod adresem: **Redakcya „Nowości Illustrowanych“, Kraków XV., ul. Nowowiejska L. 83.** Listów nieopłaconych lub niedostatecznie ofrankowanych nie przyjmujemy.

2) Rozwiązanie można przesłać tylko na specyalnym kuponie, który należy wyciąć z **„Nowości Illustrowanych“** i wszystkie rubryki należycie wypełnić. **Na osobnej kartce, opatrzonej nazwiskiem rozwiązującego, należy dołączyć znaczenie podanych pięćdziesięciu wyrazów w oznaczonym cyframi porządku.**

3) Nadsyłający rozwiązanie z Galicyi musi **prenumerować nasze pismo wprost w centralnej Administracyi Kraków XV., ul. Nowowiejska L. 83,** prenumeratorów z zagranicy warunek ten nie obowiązuje, muszą jednak do rozwiązania dołączyć kwit odnośnej księgarni lub biura dzienników, na dowód, że pismo nasze przynajmniej na kwartał zaprenumerowali (począwszy od 1-go stycznia 1913).

4) Jednemu i temu samemu prenumeratorowi nie przysługuje prawo przysłania kilku rozwiązań.

Nazwiska Prenumeratorów, którzy w terminie wyżej podanym nadeślą trafne rozwiązania, zostaną ogłoszone wraz z liczbami porządkowemi w numerze 10 z dnia 8 marca 1913 r. W tymże samym numerze podamy dzień losowania nagród.

Czyniąc zadość wyrażonym kilkakrotnie życzeniom P. T. Prenumeratorów, przeznaczamy w roku bieżącym za rozwiązanie Wielkiej Szarady konkursowej nagrody w książkach, a to

cztery główne:

1) **Komplet dzieł H. Sienkiewicza**
2) „ „ **J. Słowackiego**
3) „ „ **A. Mickiewicza**
4) „ „ **Z. Krasińskiego**

oraz trzydzieści pobocznych,

które stanowić będą najświeższe nowości literackie, tak oryginalne, jak tłumaczone.

„NOWOŚCI ILLUSTROWANE“ 1913. Nr.

Kupon do rozwiązania szarady.

Znaczenie cyfr 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10

Imię i nazwisko rozwiązującego

Miejsce zamieszkania (dokładny adres)

Ostatnia poczta

Prenumeratę zapłaciłem na rok 1913 dnia



Dla naszych hodowców: Zjazd kierowników spółek producentów bydła w Rzeszowie: 1) Przedstawiciel ministerstwa rolnictwa, radca rządu p. Schwarz. 2) Prezes Gal. Spółki zbytu bydła i trzody chlewnej marszałek Maryan Lisowiecki. 3) Delegat zarządu głównego Towarzystwa Kółek rolniczych d/r Adamski. 4) Wiceprezes Gal. Spółki zbytu bydła p. Maurizio. 5) Dyrektor Spółki rzeszowskiej p. Aleksander hr. Wodzicki. 6) Prezes Spółki rzeszowskiej p. Jan Jędrzejowicz. 7) Delegat Komitetu c. k. Towarzystwa rolniczego krakowskiego p. Jasiński.

Dla naszych hodowców.

Celem ujęcia w racyonalne ramy hodowli i handlu bydłem oraz zapewnienia hodowcom dogodniejszych warunków zbytu, powstały w Galicyi spółki producentów bydła i trzody chlewnej, które w krótkim stosunkowo czasie stały się ważnym czynnikiem do podniesienia rentowości gospodarstw wiejskich. Spółki te rozwijają się doskonale, ogarniając coraz szerszy teren swej działalności. O dotychczasowym rozwoju tych Spółek świadczył wymownie zjazd ich kierowników, który odbył się w tych dniach w Rzeszowie, w sali posiedzeń tamtejszej Rady powiatowej, pod przewodnictwem prezesa galicyjskiej Spółki zbytu bydła i trzody chlewnej, marszałka dra Lisowieckiego. W zjeździe tym wzięło udział około 30 przedstawicieli zarówno poszczególnych Spółek, jako też i centralnych instytucyi rolniczych oraz c. k. ministerstwa rolnictwa.

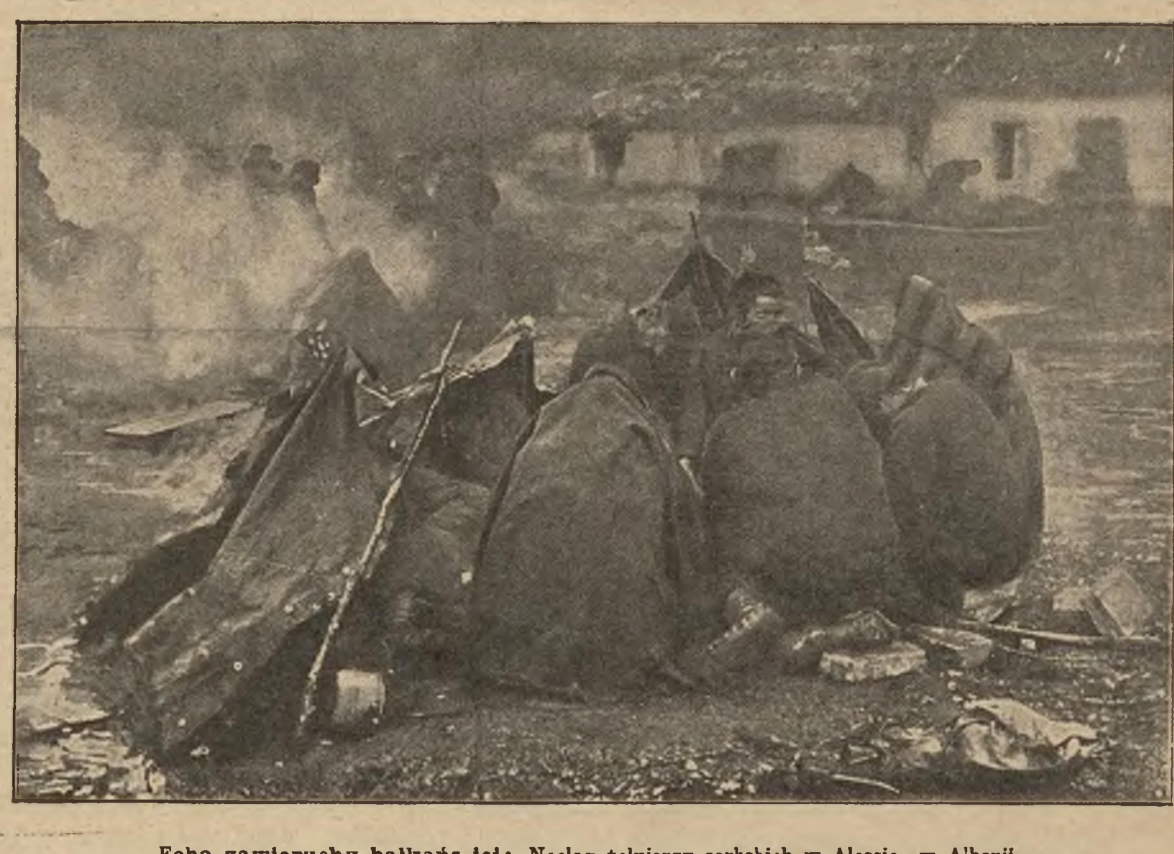
Nowy regent bawarski.

Następcą zmarłego sędziwego księcia-regenta Bawaryi, o którego śmierci donosiliśmy w poprzednim numerze, został najstarszy syn ks. Luitpolda, ks. Ludwik bawarski, który liczy obecnie 67 lat życia. Nowy regent Bawaryi cieszy się taką samą popularnością, jak i jego ojciec.

Zgodnie z tradycyą domu Wittelsbachów, jest on także, jak jego ojciec, szczerym opiekunem sztuki i artystów.

Pod względem politycznym znany jest antagonizm ks. Ludwika wobec Prus. Pamiętna jest mowa, którą książę Ludwik wygłosił w r. 1896 w Moskwie podczas uroczystości koronacyjnych. Gdy w Związku niemieckim przewodniczący wzniósł toast na cześć Wilhelma II i „książąt znajdujących się w orszaku reprezentanta cesarza“, ks. Ludwik zaprotestował przeciw temu wyrażeniu. „Jesteśmy, oświadczył, nie wasalami, lecz sprzymierzeńcami cesarza niemiec.“.

W swych wrogich uczuciach do Prus, nowy władca Bawaryi, który wobec nieuleczalnej choroby króla Ottona sprawuje w jego imieniu rządy regencyjne, jest wierny tradycyi domu Wittelsbachów i Bawarczyków, mających wrodzoną odrazę do Prus i Prusaków.



Echa zawieruchy bałkańskiej: Nocleg żołnierzy serbskich w Alessio, w Albanii.



Echa zawieruchy bałkańskiej: Król Piotr (X) i prezydent serbskiego gabinetu Pasicz (XX) wychodzą z Katedry w Belgradzie po nabożeństwie dziękczynnem.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 50.

Szarada: Sofia, Belgrad, Ateny, Cetynia.

Łamigłówka literacka:

Twardowski.
Elektra.
Ostap Bondarczuk.
Daniel.
Ogniem i mieczem.
Raj i Peri.
Marya
Ostatni z Siekierzyńskich.
Margier
Marszałek łomżyński.
Szkatułka.
Egmont.
Nasze pieśni.

Łamigłówka: San, gdy. ton, gon, ara, koc, jan, gra, kos, wor y n, l t, yak, noe, zan. bon, aga.

Trójkąt magiczny:

T r e m b e c k i
R y d y g i e r
E m i l i a n
M a r k i z
B a r o n
E c h o
C i s
K u
I

Zadanie do przestawienia: Kiep kpowi rad.

Łamigłówka literacka:

Judyta.
Undy.
Wawrzyny.
Ekstaza.
Natan mędrzec.
Anafielas.
Literat

Zadanie do przestawienia: Pies szczeka, wiatr niesie.

Łamigłówka: Na pochyłe drzewo i kozy skaczą.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: P. Madejski Wiedeń, J J giarz Tarnopol, H Kamiński Lwów, S Karwowski Pilzno, M Obst Łodź K Grechowicz Kraków, F Schmidt Cieszyn, G Świrski Piotrków, M Ligeza Lwów, M. Kadulski Oświęcim, S Nowacki Przemyśl, M Marech Lwów, S Krzyżanowski Podgórze, W Piątek Podwołoczyska, M. Łapiński Warszawa, L. Czernecki Cieszyn, M. Różycki Lwów, K. Fuchs Czeremchów, I Brzostowski Podgórze, A Siatka Kraków, K. Szumińska Rawa Ruska, M A bubiner Lwów, R Bałuk Kołomyja, K Armatys Ułanów, D. Engelberg Rzeszów. H Mizerska Płock, S Kuzelnicki Janów, M Gotlieb Sambor, J. Orlińska Jaworów, I Strojek Tarnopol, M Wojsowski Petersburg, J Gruber Drohobycz, H. Łaszcińska Lublin, L. Berezowski Nowy Sącz, J Antosz Sanok, W Fiala Kraków, S Zaremba Mszana, S. Korytowski Janów, W. Giński Jaremcze, E Dembiński Szczawnica, S. Samlicki Przemyśl, D. Stanszewski Lwów, J. Jakubowska Kraków, D Sedyńska Zakopane, M Planecka Kraków, F Gebhardt Kraków. Z Mazaraki Radom, I Wiewiórowski Warszawa, M Horak Oświęcim T. Nikiel Kraków, J Kamocki Kalisz S. Dubiel Krosno, J Gius Lwów. J Czarkowski Skierniewice, J. Sperling Wiedeń, I. Groszczyńska Wadowice A. Biliński Tarnopol, K Hessowski Jaremcze I Zachara Mielec, K. Dołęba Lwów, M Scholz Rozwadów, K. Fijałkowski Jasło, J Wójtowicz Rzeszów, M. Wyka Sambor, I Gajewski Tarnów, R. Rygucki Poznań, H Biesiadecki Kraków. R Link Lwów, S. Baziak Staszów, K. Wincencik Kraków, T Kinalski Tarnopol A Gralewski Kraków, M. Toporowski Lwów, S Stawarski Wiedeń. A Lichański Radziwiłłów, K Zapałowicz Wilno A. Dużek Kraków, T Chrzanowski Suwałki, S. Puzowski Kijów, S Kowalówka Kraków, K. Galiński Sanok, W. Zawadzki Tarnów, W Kwaśniewski Opatów, K Mann Bochnia, G. Warg Tarnobrzeg F Bättelfeind Jaworów, L Ostrowski Petersburg, R Cegielski Poznań, M. Kapalski Tarnów, H Schwarz Warszawa. W. Lisowski Warszawa, S Lindenbaum Czerniowce, F. Urban Kraków, A Trzeciak Krynica, K Stumpf Stanisławów, J. Roland Kielce, W. Borkowski Kraków, L Aleksandrowicz Płock. S Nożyński Lwów, K Więckowska Warszawa, A Wojciechowski Kraków, A. Barnat Złoczów. K. Radomski Lwów, M Rosenbaum Rzeszów, K. Malinowski Lwów, J Obraczay Morawska Ostrawa. L Bandrowski Częstochowa, S Racyński Rzeszów, W Potocka Kraków, L. Mróz Lwów, M Jahoda Cieszyn, M Krawecki Radomyśl, M. Sadowska Poronin K Janik Drohobycz S Karczmarski Kraków, J Rachwalski Stanisławów, I Błachowski Szczucin, J Poniel Mińsk. R. Majewski Lwów, K Zegartowska Bogurice, T Tichy Cieszyn, K. Gadomski Zakopane, S. Kuzyniec Kraków, E. Mianowska Lwów, S Kozarski Sichów, J Tpilec i Kamieniec, M. Klappholz Rzeszów, E Niestenberger Zakopane, J. Cichoń Warszawa, S Kozłowski Kraków, L Langer Kraków, I. Trojacki Wiedeń, S. Reich Łódź, K. Kaim Kraków, S Krysiński Częstochowa, A. Augustynowicz Lwów, S Bobrowski Lwów, S Sokołowski Rzeszów, I. Zaleski Czerniowce, A. Wilczkiewicz Stanisławów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Gadomski, Zakopane.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Sztuka zdobycia majątku przez Stefana Górkę, stron 320 cena K 3 50

Książka ta zmierza do wyzwolenia potęg energii, woli i przedsiębiorczości, które w polskiej duszy niewątpliwie istnieją, lecz jak skarby ukryte i strzeżone przez hydrę ogólnego niedbalstwa. Przytacza więc życiorysy i przykłady działań kilkunastu milionerów, którzy jako nędzarze zaczynali swą walkę o byt, a wykazawszy w niej wytrwałość i energię, doszli w rezultacie do fortun zdumiewających swoim ogromem. Wyznanie i rady tych wielkich milionerów tchną gorącym zapałem do życia i czynu oraz niezwykłą znajomością świata i ludzi, płynącą z trwałych doświadczeń. Praktyczne ich wskazówki dla chcących się wzbogacić, nie wykluczają wcale szlachetności, a nawet idealizmu, który zwłaszcza w poglądach Bonneta i Carnegie'go uderza mile i czyni sympatycznemi te postacie wielkich przedsiębiorców.

Książkę napisaną jasno i przystępnie dla warstw szerokich oraz wydaną starannie, zamyka się z myślą, iż na tym świecie można osiągnąć wszystko przy wytrwałej woli i stosownem działaniu. To jest jej dodatni wynik i dlatego powinna znaleźć licznych czytelników w kraju wyzyskiwanym ekonomicznie przez obcych, a [illegible].

Ze świata kobiecego.

Nieco o zarękawku.

Kapryśna moda zaczyna znowu swoje. Zaledwie sezon zimowy ustalił jako tako fasony i przepisy dla mody zimowej, fantazya jej twórców każe szukać znowu nowych wymysłów i przeinacza to, co dotychczas za modne uchodziło. Zaczyna się ta zmiana w dziedzinie zarękawków. Ostatnie wiadomości z Paryża donoszą, że znowu zarękawki uległy reformie i z wielkich zaczynają się przemieniać w małe, a nawet bardzo malutkie. Na ulicach Paryża zaczynają się ukazywać w rękach pań zarękawki wprost minimalnych rozmiarów, które stanowią żywy kontrast do wielkich mufków, jakimi dotychczas chlubiły się francuskie piękności.



Suknia wizytowa, spodniczka z trzema fałdami z przodu.

Wtajemniczeni tłumaczą ten nagły zwrot tem, że wielcy grosiści futrzani potrafili tak umieścić tego roku futra w modzie, że są wszędzie, na kapeluszach, na sukniach, bucikach i t. d. Tem samem mogli się zgodzić na obkrojenie zarękawków, tem bardziej, że osiągnięto przez to podwójny cel mianowicie moda zyskała nowość, a panie nie będą narzekały na wielki ciężar, jaki musiały dźwigać, stosując się do obecnych wymagań mody.

Przy sposobności nie od rzeczy będzie, przypomnieć naszym paniom, skąd wzięły się rękawki. Ciekawem przytem jest to, iż służyły one początkowo zupełnie innym celom, a także i drugiej tej „brzydkiej“ połowie rodzaju ludzkiego.

Kolebkę swoją mają zarękawki we Włoszech. Gdzieś wkońcu XV w. po raz pierwszy się pojawiły. Nie było ich przeznaczeniem jednak grzać delikatne rączki pięknych Włoszek, natomiast służyły jako ochrona od zimna dla małych piesków pokojowych i małpek, tresowanych dla zabawy pana domu. Z Włoch moda używania zarękawków dostała się do Francyi. Początkowo stanowiła ona wyłączne prawo arystokracyi. Na dworze Franciszka I. pojawiają się zarówno panowie jak i panie, którzy noszą zarękawki z futra. Mieszczanie i ludzi z gminu mieli pod karą zabronione używanie tej części toalety. Dopiero Karol IX osobnym edyktem pozwolił mieszczanom na noszenie zarękawków, z zastrzeżeniem, że te „mieszczańskie“ zarękawki będą robione ze skór o czarnym kolorze. Kolorowe zarękawki nosiła tylko nadal arystokracya. Wtedy także zaczął rozpowszechniać się zwyczaj przybierania ich koronkami i jedwabiem.

Właściwa historya zarękawka rozpoczyna się dopiero od czasów Woltera. Płeć piękna porzuciła go wtedy zupełnie, natomiast tem chętniej nosili go panowie. Rzecz prosta, że i objętość tych „męskich“ zarękawków zaczęła się ogromnie zwiększać, aż stała się wprost karykaturalną. W wieku XVIII zarękawek, noszony wyłącznie przez mężczyzn, staje się ozdobą ich salonową. Noszą go na dworach nawet głowy koronowane.

Następnie jednak moda się zmienia i zarękawek powraca znowu do rąk kobiecych. Zarazem zmniejsza swą objętość i zaczyna przenosić się z salonów na ulicę, spełniając swe właściwe przeznaczenie.



Kostyum zimowy, żakiet długi, przybrany futrem.

W czasach Biedermeierowskich znowu objętość zarękawków zaczyny się zwiększać. Moda ówczesna uważała, że wielkie zarękawki doskonale nadają się do olbrzymich krynolin. Następnie przychodzi nagły zwrot. W połowie XIX w. zarękawki stają się znowu tak małe, że zaledwie końce palców można było w nich schować. Powoli jednak moda zaczyna znowu kształt ich zmieniać. Objętość ich w ostatnich latach stale wzrasta, aż w przeszłym roku doszliśmy do takiej wielkości, że nie tylko dłoń i palce, ale całe przedramię można było w nich schować.

Także materyał, z którego zarękawki się robi, ulegał w ostatnich latach największym przemianom. Obok zarękawków futrzanych zdobyły sobie prawo obywatelstwa zarękawki z aksamitu, pluszu lub jedwabiu. Zwłaszcza, kiedy przyjęło zasadę, że zarękawek ma zgadzać się z suknią, wzrosła ich różnorodność znacznie.



Suknia wizytowa, stanik upięty z jedwabnego szala.

Był także czas, kiedy dla otrzymania tem większego kontrastu, zimowe zarękawki zdobiono kwiatami bądź sztucznymi, bądź nawet świeżymi.

Obecnie moda czyni, jak na początku wspomniałam, nowy zwrot. Zarękawki mają być znowu małe. Czy na długo? nie wiadomo. Jedno jest tylko pewne, że do mężczyzn już nie wrócą.

W.

Światowy magazyn **tylko gotowej konfekcyi damskiej**
Au Bonheur Des Dames, Kraków
ulica Floryańska L. 10

POLECA płaszcze, raglany, kostyumy angielskie, aksamitne, pluszowe żakiety i płaszcze futrzane.
Wybór wielkomiejski. Ceny niebywałe niskie.

Podarki na gwiazdkę.

Ozdobne kasetki z perfumami i mydłem, bardzo praktyczne na podarki. **Kompletne kasetki z przyborami do pielęgnowania paznokci „Manicure".**



PERFUMY, KREMY, MYDŁA, PUDRY, **wszelkie artykuły toaletowe.**

„PNEUMO" aparat do odświeżania cery, usuwa zmarszczki. Aparat ten został przez największe powagi lekarskie polecony.

Woda kolońska kraj. „Wanda" i oryginalna. — **Srodki do barwienia i konserwowania włosów.**

SPORT ZIMOWY.

SANKI różnych modeli.



NARTY (SKI) i wiązania do tychże.

Wszelkie przybory do sportu zimowego w największym wyborze.

Thermos flaszki do przechowywania płynów w jednakiej temperaturze.

KALOSZE rosyjskie i amerykańskie

polecają najtaniej

Reim i Spółka Kraków, Rynek 37.

Ozdoby na drzewko.

Kompletne dekoracye do ubrania całego drzewka od K 2·—. Gwiazdy i ozdoby z lamety, kule szklane, świeczniki, lichtarzyki, stoczki.

Nowość! Nowość!

Oświetlenia elektryczne na drzewko.



Zabawki i gry kotwiczne, skrzynki budowlane F. A. Richtera. — Aparaty do wypalania. — Kasetki z przyborami do robót piłeczkowych i snycerskich. — Szachy, szachownice, domino. — Kompletne kasetki z farbami.



Baczność!
Precz z blagą.

Dla cierpiących na przepuklinę i to w najcięższych wypadkach bez najmniejszego bólu wprowadza i wykonuje według kanału przepuklinowego **pasy przepuklinowe.**

Jedyny zakład Bandażo-ortopedyczny

H. Bogdanowicza

Kraków, Floryańska 9 a.

poleca również: **Sznurówki i pasy brzuszne, przyrządy do równania** różnych części ciała.

Dla Pań damska obsługa.

Na żądanie mogę przybyć osobiście.

Apel do Pań!

Używajcie zamiast szkodliwych mydeł do mycia twarzy tylko otrąbków

„LACTOL"

gdyż tylko one zachowają waszą cerę w świeżości do późnego wieku.

Cena pudełka na miesiąc wystarczającego Kor. 2·—

Główny skład na Austro-Węgry:
Mr. Leszek Sładowski, Lwów

Wszędzie do nabycia w aptekach i drogueryach. 1

S. GRUDZIŃSKI i T. BERGER, KRAKÓW
ul. Szewska L. 22/2. — Telefon Nr. 305



Pathéfon jest najdoskonalszym instrumentem doby współczesnej. Zadowala najwybredniejsze wymagania artystyczne. Jest najlepszym przyjacielem rodziny i najmilszą atrakcyą zebrań towarzyskich. Gra niezmordowanie i bez przerwy do tańca. W najzapadlejsze zakątki kraju wnosi świeży powiew wysokiej a każdemu dostępnej kultury i w obrębie ogniska domowego pozwala cieszyć się rozrywkami, dostępnemi dotąd tylko dla mieszkańców stolic.

Pathéfon z tubą lub bez tuby, gra bez zmiany igły, szafirem. Płyty nie niszczą się i **grają zawsze czysto.**

Co miesiąc nowości! **Katalogi darmo!**

Serya operowa: Carmen, Trubadur, Favoryta, Rigoletto.

Nowe zdjęcia Slezaka na płytach 35 cm.

C. i k. dostawca — nadw. i kameralny

GORSET „Her-Ma"

jest arcydziełem sztuki kroju



HERMAN PIESEN

Kraków, ul. Grodzka L. 4

TELEFON 1534.

Salon modeli: Paryż 39 Rue de l'Echiquier.

Wiedeń, Lwów i Mor. Ostrawa

Gorsety „Her-Ma" są niezrównane co do fasonu, wygody i taniości.

CENY GWIAZDKOWE.

Wyłączna sprzedaż patent. opasek „La Nea" **Dra Fr. Glenarda** w Paryżu.

Proszę żądać nowego luksusowego katalogu darmo i opłatnie. Zawiera on najnowsze mody gorsetów

FAJKI

solidnie wykonane po najtańsz. cenach fabrycznych.



Nr. 8008. Znakomite fajki rogowe z brązową marmurkową główką, nasadą okutą metalem, co zapobiega wydobywaniu się soczku, z rurką rogową, długim rog. munsztukiem, przyrządem do czyszczenia główki, i rurką gumową 24 cm. długie, **Kor. 1·90.**

Fajki lepszego gatunku K 2·30 2·50, 3·50 i wyżej.

Wysyłka za poprzedniem nadesł. należytości wraz z portem lub za zaliczką przez c. k. dost. dworu **Hanns Konrad** dom wysyłk. **w Brüx Nr. 4129 (Czechy)**

Bez ryzyka! Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.

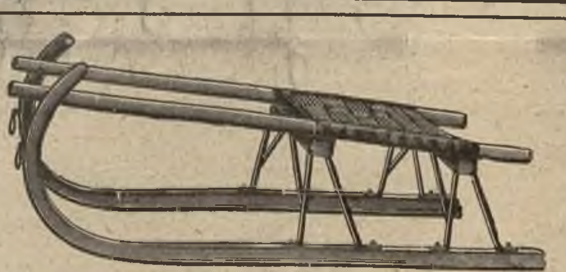
Katalog główny z 4000 odbitek na żądanie gratis i franko.

Uniformy



i specyalny **wyrób spodni** do jazdy konnej poleca po cenach umiarkowanych

Zakład uniformowy ANTONI MOTTL
Kraków, ul. Wiślna 9.



Przybory do sportu zimowego

uznane jako pierwszorzędny fabrykat, dostarcza **fabryka specyalnych wyrobów sportu zimowego** „Moravia" Val. Jadrníček'a Syn, Fryšták Nr. 16 koło Holešowa. (1)

Przeszło 80 modeli. Ubrania sportowe wełniane.

Proszę zażądać cenników Nr. 35.



ŚCIBOROWSKI.K

Kraków, ul. Floryańska L. 13

poleca

NA SEZON JESIENNY I ZIMOWY:

Płaszcze angielskie i pluszowe, **Kostyumy, Szlafroki, Suknie, Bluzki** jedwabne i gazowe, **Kapelusze, Swetery i Czapki sportowe** i wszelkie nowości w zakres towarów modnych wchodzące.

Ceny umiarkowane. Towar doborowy.

Najlepsze czeskie źródło!



TANIE PIERZE

1 klg. szarego, dartego kor. 2, lepszego gat. K 2·40, najlep. gat. nawpół białego K 2·80, białego puchowego K 5·10. 1 klg. śnieżnobiałego dartego w najl. jakości K 6·40, K 8, 1 klg. szarego puchu K 6 7, białego K 10, najl. puchu brzusznego K 12.

Przy odbiorze od 5 klg. wysyłka franko.

Gotowe pierzyny z grubonicianego czerwonego, niebieskiego, białego lub żółtego inletu (Nanking), 1 pierzyna 180 cm. dług. 120 cm. szer. z dwoma poduszkami każda 80 cm. dług. 60 cm. szer., dostatecznie wypchane nowem, szarem, czyszczonem, jędrnem i trwałem pierzem K 16, półpuchem K 20, puchem K 24, sama pierzyna K 10, 12. 14 16, poduszka K 3·—, 3·50, 4·—, pierzyny o 200 cm. dług. 140 cm. szer. K 13, 14·70, 17·80, 21, poduszki 90 cm. dług. 70 cm. szerok. K 4·50, 5·20, 5·70. Podściółki z mocnego gradlu 180 cm. dług. 116 cm. szer. K 12·80. 14·80. — Wysyłka za zaliczką, od 12 kor. z bezpłatnem opakowaniem. — Zamiana dozwolona, za nienadające się zwracamy pieniądze. — **Dokładne cenniki darmo i opłacone.**

S. Benisch w Deschenitz Nr. 757 (Czechy).

Na gwiazdkę

praktyczne podarki, jakoto: Necesery, Manicure, Kasety z przyborami, Biżuterya franc. Pledy ang. Swetery, Czapki, Kamasze itp. Torebki damskie od Kor. 4 do 50

poleca najtaniej

ANASTAZY FRONCZ
Kraków, Floryańska L. 17.

HOTEL PENSION NOUVELLE

W KRAKOWIE, UL. ZACISZE L. 14 (w pobliżu dworca kolejow.)
na parterze, I-szem i II-giem piętrze. — Telefon Nr. 2449.

POKOJE UMEBLOWANE
od 2 koron i wyżej.
Na żądanie: Obiady, Kawa, Herbata.

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

22

„Dołączam swoje życzenia. Th. S. de Montgomery".

— Mój ojciec — rzekł z uśmiechem Montgomery — i moja siostra, którzy się dowiedzieli odemnie o twoim czynie.

La Rochardie chciał mówić, ale nie był w stanie, zadowolnił się więc uściśnięciem dłoni kapitana.

Późnym wieczorem, gdy przy łóżku chorego byli tylko dwaj przyjaciele, — L'Amorce zapytał przez telefon, czy może przyjść.

— Ależ tak — odparł sam La Rochardie — naturalnie — będzie mi bardzo przyjemnie. Nie jestem wcale zmęczony.

W kilka minut później L'Amorce wszedł do pokoju.

— Przynoszę panu powinszowanie od mego szefa — rzekł. Dałem mu znać o pańskiej przygodzie, telegrafując opis jej, jako korespondencyę do przyjaznego nam pisma. Paulin Brcquet odpowiedział mi cyfrowaną depeszą, którą przetłumaczyłem. Służę panu.

La Rochardie przeczytał depeszę i rzekł:

— Proszę podziękować serdecznie swemu szefowi — i powiedzieć mu, że powinszowania jego są dla nas nadzwyczaj pochlebne i miłe. Proszę też dodać, że zawdzięczam ocalenie jego dzielnemu pomocnikowi, niejakiemu L'Amorce.

— Dziękuję panu, kapitanie — odparł L'Amorce. Ale przyszedłem tu właściwie nie dla wymiany grzeczności. Mam tu do spełnienia pewną misyę i za pańskiem pozwoleniem — spełnię ją — siedząc sobie w tym fotelu.

— Jakto? — zapytali trzej przyjaciele.

— Tak, spędzę tu noc, patrząc, słuchając rozmyślając. I nie dając bliższych wyjaśnień. — L'Amorce przesunął fotel w kąt za łóżkiem i usadowił się w nim wygodnie. Fotel odwrócony był wysokiem oparciem do pokoju i zakrywał siedzącego w nim.

W tej chwili znowu zadzwonił telefon.

— Mac Binderton zapytuje, czy kapitan La Rochardie zechce go przyjąć w ważnej sprawie.

L'Amorce, słysząc to, rzekł, nie ruszając się z fotelu.

— Jestto prywatny detektyw angielski, który przyszedł panu z pomocą. On to uprzedził mnie o zamachu, którego pan był ofiarą.

— A, w takim razie przyjmijmy tego zacnego jegomościa.

— Mac Binkerton — rzekł półgłosem L'Amorce ze swego fotelu — jest bardzo zręczny... Jednakże jedna rzecz mnie dziwi: skąd wie, że się nazywam L'Amorce, że znajduję się w Londynie. Wreszcie jakim sposobem zdążył zawiadomić mnie i zawieźć na miejsce zbrodni w sam czas...

— Rzeczywiście to dziwne. Co pan o tem myśli? Co pan przypuszcza?

— Jestem ze szkoły Paulin Brcquet'a — odparł L'Amorce — nic nie myślę i nic nie przypuszczam; muszę zobaczyć i usłyszeć. Zobaczymy Mac Binkertona. Wtedy powiem panom, czy to jest prosty przypadek, czy też wspólka...

W krótce zjawił się Mac Binkerton. Uścisnął dłoń kapitana, zapytał, jak się czuje i nie pozwolił sobie dziękować.

— Jestem szczęśliwy — rzekł — że jeszcze raz mogłem dowieść zdziwionej Anglii, że jestem pierwszym detektywem Londynu i Zjednoczonego Królestwa.

— Stwierdzam to z radością — odparł Rochardie — i powtórzę to każdemu.

Detektyw skłonił się i ciągnął dalej. Mówił po francusku bardzo dobrze z bardzo słabym akcentem angielskim. Mówił z wielkim szacunkiem o metodach Paulina Brcquet'a, którego nie znał osobiście, którego jednak uwielbiał otwarcie. L'Amorce, siedząc w swym fotelu, słuchał uważnie i patrzył bacznie.

— Pan musi być zdziwiony, kapitanie — mówił Mac Binkerton — że tak na czas potrafiłem przyjść panu z pomocą zarówno, jak i mojemu koledze L'Amorce mogło się wydać dziwne, że go znalazłem i zabrałem ze sobą. Muszę to wszystko wyjaśnić. W pociągu, którym panowie wyjechali wczoraj wieczorem z Paryża i ja się znajdowałem. Byłem tam dla opieki nad pewną bardzo bogatą angielską damą, która przez oszczędność podróżuje samotnie. Jest to dziwaczka — nie ma zaufania do nikogo, nie ufa nawet najsolidniejszym bankom. Nosi zawsze z sobą w skórzanej torbie swe klejnoty, ogromnej wartości. Jej krewni w Paryżu, których odwiedzała, obawiając się napadu w drodze — polecili mi — bez jej wiedzy oczywiście — opiekę nad nią w podróży z Londynu i z powrotem. Dziwnym trafem wsiadłem do tego samego pociągu, co i panowie, dowiedziałem się też po zamachu, że w pociągu był też Paulin Brcquet ze swymi ludźmi i że L'Amorce miał jechać do Londynu. Ponieważ na moją milionerkę nikt nie miał zamiaru napadać, przyszła mi fantazya strzedz panów w Londynie. W taki sposób byłem świadkiem sceny z kwiaciarką, widziałem potem, jak panów nieznani mi policyanci odwieźli niby na dyrekcyę policyi. Poleciłem swoim ludziom śledzić wasz automobil, dowiedziałem się, gdzie się zatrzymał, uprzedziłem L'Amorce — no i pomimo, że to wszystko zabrało sporo czasu, zdążyłem jeszcze w samą porę.

Trzej przyjaciele i L'Amorce wysłuchali tego opowiadania w głębokiem milczeniu. Mac Binkerton po chwili przerwy — dodał:

— Jestem pewny, że bandyci wkrótce powtórzą napad. Jakie jest pańskie zdanie, kolego? — zwrócił się do L'Amorce.

— Zupełnie takie same — odparł zapytany, chociaż myślał inaczej.

— Trzeba więc, panowie, żeby ktoś czuwał nad nami. Jest tu L'Amorce, ale nie zna on dostatecznie Londynu, jego wszystkich tajemnic i sztuczek. Ja więc, jako miejscowy, pozwolę sobie zaproponować swe usługi. Będę uszczęśliwiony, jeśli panowie zechcą je przyjąć. Rzecz prosta — nie może być mowy o wynagrodzeniu pieniężnem.

— Nie wiem doprawdy — odparł kapitan — czy mam przyjąć pańską propozycyę... Nie chciałbym narażać pana na trudy, przytem wdzięczny jestem nieskończenie za pomoc w tym wypadku...

Mac Binkerton przerwał mu, wyciągając rękę:

— Właściwie pańskie zdanie nie wpłynie na stan rzeczy. Jeśli pan przyjmie, będzie mi bardzo przyjemnie, jeśli pan odmówi, będę mimoto czuwał — choćby dla spełnienia obowiązku koleżeńskiego względem Paulin Brcquet'a. Zresztą najlepiej będzie, gdy spytamy o zdanie pana L'Amorce.

L'Amorce odparł:

— Ponieważ sir Mac Binkerton oznajmił, że nawet — wbrew woli i wiedzy panów będzie czuwał nad nimi, więc myślę, że trzeba się na jego propozycyę zgodzić.

— All right! Mój drogi kolego — zawołał Mac Binkerton. To się nazywa dobrze mówić. Od tej chwili rozpoczynamy dalszą opiekę.

Poczem wstał, pożegnał się szybko i wyszedł.

Trzej przyjaciele spojrzeli po sobie, poczem zwrócili się do L'Amorce:

— Co pan o tem wszystkiem powie?

— Jestem zdania, że bandyci, z którymi mamy do czynienia, są zanadto inteligentni i za bardzo cenią swój czas, żeby się zajmować zemstą, która nie przyniesie im żadnej korzyści.

— Ja to samo myślę — rzekł kapitan Montgomery — i jestem pewny, że nic ci, drogi przyjacielu, w Anglii nie grozi.

— Jednakże — dodał L'Amorce — proszę mi obiecać, drogi panie kapitanie, że pan nie ruszy się z hotelu, nie przyjmie żadnego zaproszenia i nie wpuści nikogo do siebie, nie uprzedziwszy mnie o tem. Nas jest tu tylko trzech z brygady Paulina Brcquet'a, nie znamy miasta tak dobrze, jak Mac Binkerton — i moglibyśmy — w razie niebezpieczeństwa — przybyć za późno. Proszę pamiętać, panowie, że będziemy czuwali nad wami dzień i noc.

Tu L'Amorce powstał, pożegnał trzech przyjaciół i udał się do sąsiedniego pokoju, który zarezerwowano dla niego.

ROZDZIAŁ V.

W kilka dni później, La Rochardie, jak mu to obiecał lekarz, wyzdrowiał i trzej przyjaciele pod opieką L'Amorce, powrócili do Paryża bez żadnych przygód.

L'Amorce stawił się natychmiast u swego szefa, gdzie zastał kilku kolegów — i zdał szczegółowy raport ze swych czynności oraz z wypadków londyńskich. Specyalnie w opowiadaniu swem zatrzymał się dłużej przy opisie osoby Mac Binkertona, angielskiego detektywa, przyczem wyraził swe podejrzenia co do niego.

Paulin Brcquet jednak nie zgodził się ze swym pomocnikiem.

— Nie znam osobiście Mac Binkertona — rzekł — ale słyszałem o nim wiele dobrego. I jestem pewny iż pomagając wam, powodował się jedynie uczuciem koleżeństwa względem mnie. Bardzo mnie to cieszy i będę bardzo szczęśliwy, gdy go poznam i osobiście podziękuję.

L'Amorce był nieco stropiony tem oświadczeniem, nic jednak nie odparł. Paulin Brcquet począł chodzić po pokoju, paląc papierosa i kiwając się gwałtownie w głowę. Nagle zwrócił się do Hermana:

— Mój chłopcze — rzekł — trzeba żebyś znowu zaszedł do tej szynkowni luksemburskiej — oczywiście w innem przebraniu. Zdaje mi się, że tam można będzie zbadać przyczyny tych wszystkich awantur londyńskich.

Zwracając się do Felana, dodał:

— Ty zaś będziesz mu pomagał i dawał mi znać w miarę, jak zajdzie coś ciekawego. Teraz idźcie.

Gdy wyszli, zwrócił się do swych pierwszych pomocników:

— Moi chłopcy — jest wśród nas jeden, co popełnia niedyskrecye, zdradza nas poprostu.

L'Amorce i Gabryel poruszyli się żywo.

— Panie szefie — rzekł Gabryel — podejrzewaliśmy to oddawna, ale to jest tak poważne, że nie śmieliśmy o tem mówić, nie mając pewności.

— Tak, ale tę pewność ja mam już teraz. Jasne jest, że nasi przeciwnicy są uprzedzani o wszystkich naszych krokach. Dowodem tego afera w domu Schmidta — otrucie naszego biednego Mapipe, wreszcie zajście w szynkowni luksemburskiej, gdzie poznano odrazu Hermana i mnie. Jest to więc fakt oczywisty. Nie wymawiajmy imienia, lecz przygotujmy zasadzkę, w którą nędznik wpadnie. Musi to nastąpić szybko.

— Ale — panie szefie — czy w takim razie posyłanie Hermana do szynkowni nie będzie bezużytecznem.

— Dlaczego?

— Odkryją go odrazu.

— Tego właśnie pragnę. Będzie to nowym do-

wodem zdrady. Dajmy temu spokój teraz. Muszę cię przeprosić L'Amorce. Przed chwilą wobec wszystkich odmówiłem ci przenikliwości w sprawie Mac Binkertona.

— Tak jest, panie szefie. Narazie zdziwiło mnie to, ale ostatecznie sądziłem, że mogłem się pomylić.

— Ani trochę. Mówiłem tak jedynie dlatego, żeby zdrajca się nie domyślił. Musiałem więc udawać głupiego.

— Rozumiem, panie szefie.

— Teraz zaś mogę ci powinszować sprytu i domyślności.

W dwa dni później Herman wybrał się w innem przebraniu do szynkowni luksemburskiej. Pomimo zachowania wszystkich środków ostrożności poznano go odrazu. Gdy Felan oznajmił o tem szefowi, ten okazał wielkie zdziwienie. Gdy jednak został później sam z Gabryelem i L'Amorce — rzekł:

— Teraz mamy już dowód zdrady i musimy ukarać zdrajcę. Ściśle biorąc jednak — nie jest to zdrajca, jestto poprostu członek bandy. Zigomar umieścił go wśród nas jako szpiega. Ale dosyć mu się już wysłużył...

Po powrocie Simonet'a z Londynu, minister spraw zewnętrznych wezwał do siebie Paulina Broquet'a, żeby podziękować mu za pomoc, bez której cała sprawa mogłaby się źle skończyć.

Paulin Brcquet, wzruszony tym dowodem uznania, rzekł:

— To jeszcze nie koniec tej sprawy, panie ministrze — i ciągle musimy się mieć na baczności. Bandyci nie ustąpią tak łatwo i przy pierwszej sposobności zechcą się zrewanżować.

— Jestem tego samego zdania — odparł minister.

— W tej chwili nad projektem traktatu, który zawiózł Simonet, toczą się w Londynie tajne obrady. Obawiam się jednak, jestem prawie pewny, że bandyci wiedzą już o tem.

— Trzeba więc być przygotowanym.

— Tak jest, panie ministrze. Urzędnik ministerstwa angielskiego, który przywiezie odpowiedź na projekt traktatu, będzie dobrze strzeżony, jednakże pozwolę sobie zaproponować pewien projekt.

— Słucham pana z największą uwagą i gotów jestem postąpić co do joty według pańskich wskazówek.

— Gdy otrzyma je pan, panie ministrze, jakie ważne dokumenty, chowa je pan do tej szafy, którą już raz usiłowano ograbić?

— Tak jest.

— Chowa pan tutaj dokumety najważniejsze.

— Istotnie.

— Tutaj też umieści pan odpowiedź, która przyjdzie z Londynu?

— Taki był mój zamiar, w samej rzecy.

— Otóż pozwolę sobie zaproponować panu pewien projekt, prosząc zarazem, aby mnie pan o szczegóły nie pytał. Potrzebne mi to jest do działania.

— Powtarzam panu, że w tej sprawie zastosuję się w zupełności do pańskich rad i wskazówek.

— Dziękuję panu, panie ministrze. Otóż proszę, by pan zechciał — zanim przyjdzie ostateczna odpowiedź z Londynu — poprosić ministra angielskiego, by przysłał tu specyalnego kurjera z papierami, nie mającemi żadnego znaczenia. Przybycie tego kurjera otoczy pan jak największą tajemnicą. Dokumenty schowa pan tutaj i będzie pan o nich mówił szeptem i tylko kilku najbardziej zaufanym urzędnikom, powierzając im zachowanie najściślejszego sekretu.

— Nic łatwiejszego..

— W taki sposób wszyscy będą wiedzieli, że kuryer ten przywiezie dokumenty niesłychanej wagi. Ci, którzy nie potrafili wykraść traktatu dardanelskiego, zechcą zbobyć odpowiedź ministerstwa angielskiego. Będzie to ich rewanżem.

— Rozumiem.

— Nic więcej nie mam już do powiedzenia, panie ministrze. Reszta do mnie należy.

Paulin Brcquet, porozmawiawszy parę minut o sprawach obojętnych, pożegnał ministra, który nie dopytywał go o nic więcej. Miał on zupełne zaufanie do zręczności detektywa i pragnął ułatwić mu zadanie. Wezwał więc szefów sekcyi i uprzedził ich o mającym nastąpić przybyciu kurjera z ważnemi papierami. Szefowie zaintrygowani już tem, co się dotąd działo, a o czem dobrze nie wiedzieli — zaprzysięgli tajemnicę i poczęli chodzić z tak skupionemi minami, takiem otoczyli się dyplomatycznem milczeniem, że wkrótce całe ministerstwo wiedziało, iż ma się stać coś niezwykłego. Młody Raynaud, sekretarz Simonet'a, również uprzedzony — zapewnił swego szefa o zupełnem swem oddaniu dla sprawy i zachowaniu najgłębszej tajemnicy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka świętalna.
Ułożył X. Y., Kraków.

Z każdego z poniżej umieszczonych wyrazów wyjąć po dwie obok siebie stojące głoski i ułożyć z nich życzenie, które w dniu dzisiejszym Redakcya przesyła P. T. Czytelnikom.

Dolina, Krasiński, Regulice, kondor, rok, Luwr, senes, Kołomyja, rychło, wszechświat, Wisła, kąt.

Zadanie królewskie.
Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

po	le	dziesz	miał	na	luś
my	bę	ta	rów	ca	kim
ci	pła	za	la	le	sto
pła	ci	tę	sprze	ce	mień
za	my	cha	daj	ły	od
ce	ro	pie	chło	dzi	cho
wień	lę	bę	dzi	ły	ce
czer	miał	dziesz	cho	tu	niem

Szarada.
Ułożyła N. Kochańska, Kobylanka.

Drugie na każdym okręcie znajdziecie,
Pierwsze wraz z trzeciem za ochronę służy,
Zaś trzecie-pierwsze na łóżku znajdziecie,
Pierwszem cię żegna twój dzieciak nieduży.
Całość zobaczysz w lecie na ugorze,
Albo w kościele, właśnie o tej porze.

Łamigłówka.
Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Uzupełnić podane wyrazy w ten sposób, aby głoski, wstawione w miejsce kresek, utworzyły to, co obecnie wszystkich zajmuje.

— ak
— ka
— ły
— oc
— to
— ar
— ra
— sa
— al
— hm
— an
— os
— nn
— lk

Szarada.
Ułożył Sokrates, Nowy Sącz.

Weź najpierw liczbę, którą ma stulecie,
Dodaj część wozu, potrzebną dla koni,
A wnet otrzymasz przecudowne kwiecie,
Rozlicznej barwy i kształtu i woni.

Zadanie na rozsypane litery.
Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: a, a, b, b, c, d, d, d, e, e, g, i, i, i, j, l, m, m, n, n, o, o, o, o, r, u, w, y, z, z, z.

Zagadka literacka.
Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Znaleźć autorów dzieł poniżej wymienionych. Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, podadzą tytuł jednego z utworów Sienkiewicza.

Zawisza Czarny?
Ksiądz Prot?
Potęga ciemnoty?
Nieoswojone ptaki?
Nana?
Kartki z życia kobiety?
Śmierć mojego dziadka?
W dniu Zmartwychwstania?
Z carskiej imperyi?

Zadanie do przestawienia.
Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
B o Z d z i s ł a w i d z i e z c ó r k ą, g, ą.

Zagadka.
Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Mam ja dwa znaczenia, Czytelnicy moi,
Żalu i sławy, która żal ten koi!

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *prof. Stefana Górki*: **Sztuka zdobycia majątku.**